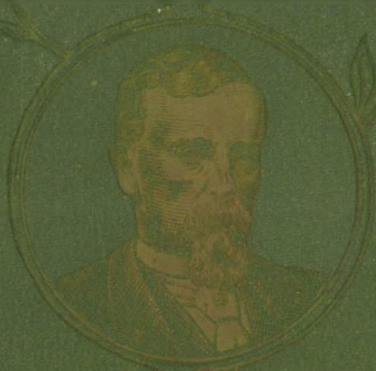
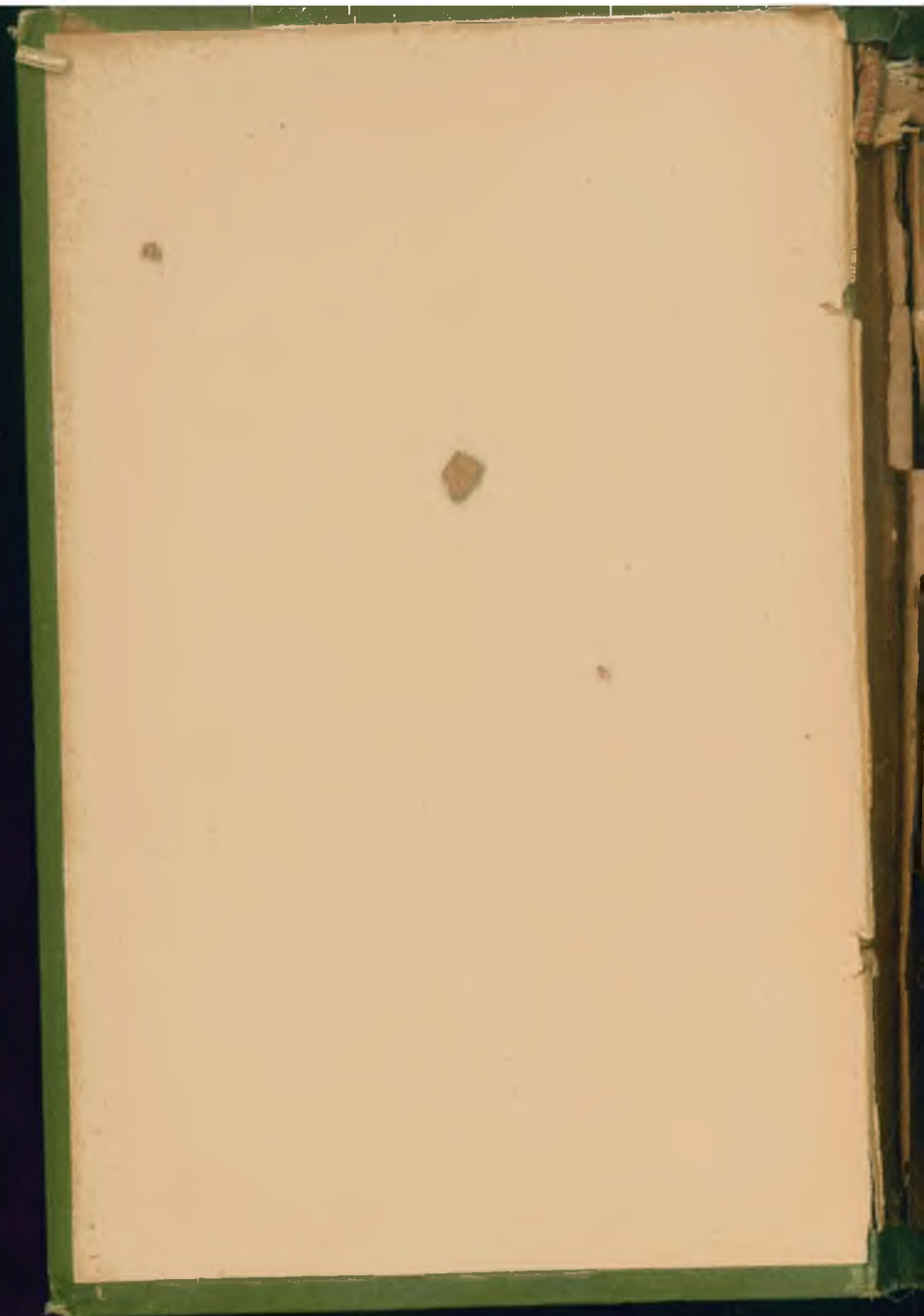




PISMA
H. SIENKIEWICZA

-TOM-

23



561 66
5641 E
320627 E
294165 E
661358 E

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXIII

Z PAMIĘTNIKA POZNAŃ-
SKIEGO NAUCZYCIELA
ZA CHLEBEM

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)

1900

75360

/12



66296

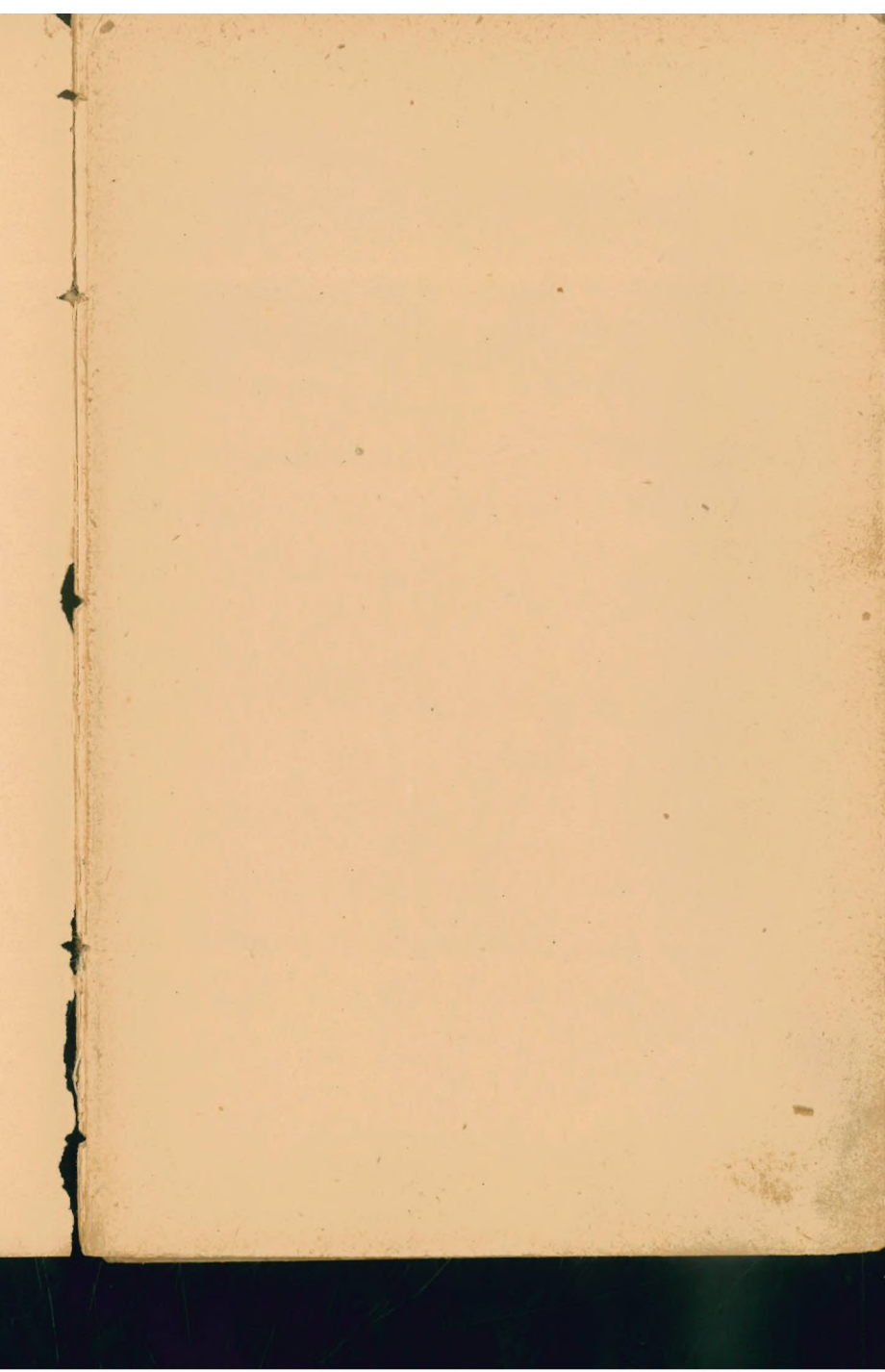
zull. 2.55/68

Wskazano z osobą
długości Bibli. Jagiell.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

Bibl. Jagiell.

1973 D



76



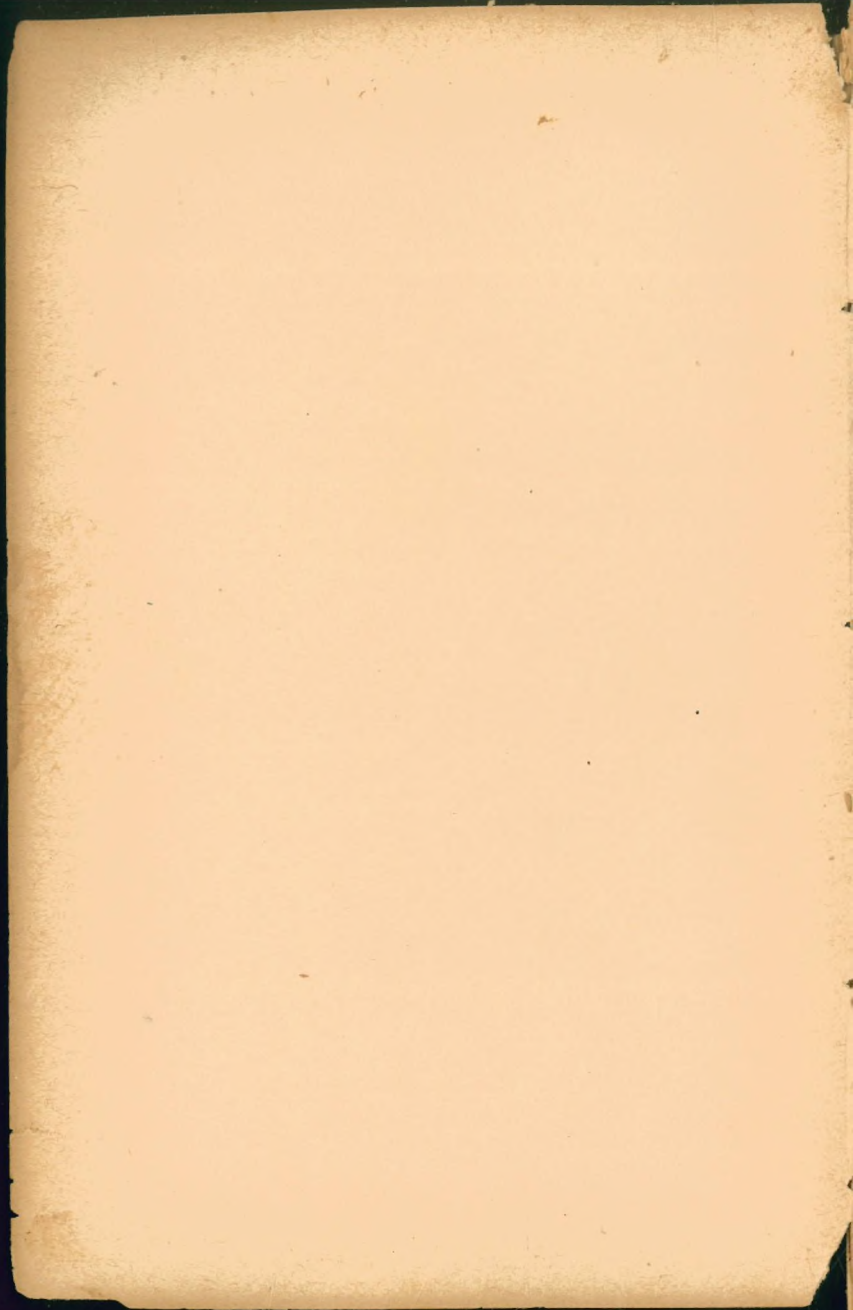
PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXIII

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Июня 1900.

- Z PAMIĘTNIKA

POZNAŃSKIEGO NAUCZYCIELA



..... Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie, i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia, pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bielezną, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał mechanicznie konjugacye łacińskie, lub greckie z tą jednostajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanii. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpowiadał mi: »Nie umiem jeszcze lekcyi, panie Wawrzyńkiewicz«. Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziewiątej do dwunastej, i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umiem wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapomniał pierwszej, a konjugacye greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł. Wylaził tedy z pod koł-

dry, zapalał lampę i zasiadał nanowo do stolika. Gdym go lajał, prosił się i płakał. Potem tak już przyzwyczaiłem się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mruczenia konjugacyi, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie mogłem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się codzień choć jako tako lekcyi, bo inaczej usunięto by go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Maryi, która, po śmierci męża zostawszy z dwójgiem sierot, wszystkie nadzieje złożyła w Michasiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się na pamięć, tyle do napisania codzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra, i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych

bizantyjskich tomów, serce mi się poprostu ścis-
kało. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumie-
nie i względność, ale niemieccy profesorowie od-
powiadali mi tylko, że dziecko psuję i rozpie-
szczam, że Michaś widocznie niedość pracuje
i że beczy z łada powodu. Chory sam jestem
na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki
niejedną mi chwilę zatruly. Ja najlepiej wie-
działem, czy Michaś niedość pracuje! Było to
dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwale
i, przy całej słodczy, taką obdarzone siłą chara-
kteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w ża-
dnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie
i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu
powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa,
chora, i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył,
to może ją dobić — więc chłopak drżał przed
tą myślą i całemi nocami siadywał nad książką,
byle tylko matki nie zmartwić. Wybuchał płą-
czem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie
przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do ja-
kiej strasznej poczuwał się w takich chwilach
odpowiedzialności. Bał co komu było do tego?
Ja go nie psulem, ani rozpieszczałem, tyłkom go
rozumiał lepiej od innych; żem zaś zamiast ła-
jać go za niepowodzenia, starał się pocieszać, to

już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemal, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i — niech tam dyabli wezmą! nawet już i zębów nie ścis-kam, gdy o tem myślę; nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym latał za gołębiami po ulicach, lub grywał w pliszki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdrowia i weselości. Kaszel mnie nie męczył; gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą byłem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Michaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyleby więc wygrał, ileby jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, naplatał figlów i wylatał się na otwartem powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie miałem przed oczyma. Przeciwnie: widziałem dziecko idące do szkoły i wracające z niej chmurne, zgarbione pod ciężarem książek, wysilone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące ustawicznie jakoby wybuch płaczu — więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek pry-

watnym, i nie wiem, cobym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek, jaki z niej płynie. Myślę tylko po prostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu małych istot.

Myślę także, że pedagogia lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Taki ze mnie obskurant, że pewno już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w niem coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, którego kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem, pierwaj jako guwerner, potem, gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, miałem więc czas przywiązać się do niego. Zresztą czemu bym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tem i nigdy wiedzieć nie będzie. Pamiętam, że ja jestem... ot sobie pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, po prostu

pani, na którąbym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi w końcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszla miotana falą — więc moje przywarło do niej. Co ja na to poradzę? a wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła, niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, byłem przy śmierci jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swem wdowienistwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędzej moja religia.

Michaś bardzo przypominał matkę. Nieraz, gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to te same delikatne rysy, to samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W usposobieniu matki i dziecka była także wspólność, objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji uczuć i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, szlachetnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając

naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz, i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że zgóry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca — za dużo kochają.

Rodzina Michasia była niegdyś bardzo zamożną, ale — za dużo kochali... więc rozmaite burze rozchwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów — miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; to też pani Marya kochała go nietylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem, zwykłym matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępym, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby być skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i, wiedząc o wysokiem wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysilał je napróżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i po-

stanowilem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którymby dziecku na zle wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tem niezdrowego, i gdyby mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz, to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim drogim chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta. Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecinną wesołością i świeciły, jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wązkich pleców tornister, przeładowany książkami i, mrugając na mnie, mówił jeszcze w progu:

— Panie Wawrzyńkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał

do mnie z pyszną minką i, zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wiezorami w takie dni, Michaś rozmarzał się i, wyobrażając sobie co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył nawpół do mnie, nawpół do siebie samego:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał — zwyczajnie jak w ziemi — więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie; a tu mama czyta: Z religii: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O, panie Wawrzynkiewicz!

I biednemu chłopcu lzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymywać, sam bieglem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Mi-

chasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każę, i nie upierać się przy nocnem siedzeniu. Rozrzuwniony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

— Dobrze, mój złoty panie, będę zdrow, że aż strach, i stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Maryi, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się codzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował: nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i o ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczyrby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszem, mniejbym się troszczył o niego; ale on prawie

żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie, niż pomyślność. Chwile radości i owych *piątek*, o których wspomniałem, rzadkie były, na nie-szczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

— Dostałeś zły stopień? — pytałem.

— Tak jest!

— Nie umiałeś?

Czasem odpowiedział:

— Nie umiałem — częściej jednak: — Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nim uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie... wy-języczyc.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy wyplakawszy się siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwo-jonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ścisnął głowę obu rękoma

i milczał: egzaltowany chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się poprostu w kole błędnem, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, pociemku, wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Nim go na tem zlapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalonemi ścianami. Nie miałem innej rady, tylko wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcye, by go przekonać, że je umiał, i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam w końcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko straciło siły, chudło, żółkło i zasępiało się coraz bardziej. Czasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykladał mu historję, którą «Stryj synowcom opowiedział», co na żądanie pani Maryi robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaiskrzonemi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrzawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

— Panie! więc to naprawdę nie bajka? bo...

— Bo co, Michasiu? — pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi, zacisnął zęby, a w końcu wybuchnął płaczem tak namiętym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badalem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które ranily jego uczucia. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic prócz niechęci do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyna tak uczciwy jak Michaś odczuwał je boleśnie, a nie śmiał zaprzeczać. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białem, cnem, ukochaniem, druga naznaczała piętnem strupieszenia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tem rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne;

musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; — dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Uplywały dni, tygodnie, biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej oplakany. Listy pani Maryi, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemienia.

«Bóg cię obdarzył, Michasiu, niezwyklei zdolnościami — pisała matka; — ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą».

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za ręce spazmatycznie i zanosząc się od płaczu, począł powtarzać:

— Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz! co ja mogę poradzić?

Istotnie cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczać?

• Nadeszły czasy rekreacyi na Wszystkich Świętych; cenzura kwartalna wcale była nie-szczególna; z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zakłęcia, nie posłałem jej pani Maryi.

— Drogi panie! — wołał, złożywшы ręce: — mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko ludziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, ludziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede-wszystkiem, że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawnobym był pisał do pani Maryi i przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych, Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od *gaudeo* czas przeszedł jest:

gavisus sum, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: «cieszę się.» Myślałem, że chłopak zwaryjuje ze szczęścia. Napisał do matki list, zaczynający się od słów:

«Mamusi najdroższa! czy ukochana moja wie, jak jest *perfectum* od *gaudeo*? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem».

Michaś poprostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne *perfecta* i *participia*. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna liczba przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. Michaś i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennem i nie obrobili go. Owickiemu to uszło, bo jako prymusa nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganę w szkole, wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczono oczywiście, że utaił umyślnie

przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma, szeptał, myśląc, że go nie słyszę: «Boli! boli! boli!» List od matki, który nadszedł nazajutrz rano, i w którym pani Marya obsypywała Michasia pieścizotami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem.

— O, sprawię mamie ładną pociechę! — wołał, zakrywszy twarz dłońmi.

Następnego dnia, gdym mu zarzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Dostał go za lekcję, którą umiał doskonale, ale wedle tego co mówił Owicki, załękł się i nie mógł słowa

przemówić. Utwierdziła się o nim stanowczo opinia, że był to chłopiec przesiąkły «wstecznymi zasadami i instynktami», tępy i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył jak tonący z falą — rozpaczliwie, ale na próżno.

W końcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysiłki i praca nadaremna, że musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesina, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieoględny, każdy list kończył słowami:

«Michaś tedy niech pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności». Pamiętał, pamiętał aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał żalosnym głosem: «Mamo! mamom!» — jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżało się szybko, i co do cenzury nie można się było łudzić. Napisałem do pani Maryi, chcąc ją o tem uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że

dziecko jest słabowite, a przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady, i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przedewszystkiem wzmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczułem, że jej miłość własna matczyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla niego każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje, i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wyplakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Placząc, powtarzał: «Ile ja mamie sprawiam zmartwienia!» Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę, i małą Lolę, i Zalesin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki, i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka dla niego miała twarz swojską, życzliwą, nie obcą i odpycha-

jącą; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego świat jak zbawienia i liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz nowe przynosiły zgryzoty. Zdawało się, iż wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Michaś dostał, jako *demoralizujący* innych, znów publiczną nagane. Było to już przed samemi świętami, więc tem więcej miało znaczenia. Jak wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wrażliwy — nie podejmuję się opisać; co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed oczyma widział, zamiast światła — ciemność. Giał się też, jak kłos pod wiatrem. W końcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz poprostu tragiczny; wyglądał tak, jakby go za gardło dusił ustawicznie płacz i jakby gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami oczy jego patrzyły, jak oczy cierpiącego ptaka; potem opanowało go dziwne zamyślenie i senność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne, a głos dziwnie powolny. Stał się niezwykle cichy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdy mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał

się jak dawniej, ale brał czapkę i szedł w milczeniu. Bylbym nawet kontent, gdyby to było zobojętnienie, alem widział, że pod jego pozorem kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacya. Siadywał przy lekcyach, odrabiał zadania jak i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia. Znać było, że powtarzając mechanicznie konjugacye, myślał o czem innem, albo raczej nie myślał o niczem. Raz, gdym się go spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim powolnym głosem i jakby sennie: «Ja myślę, panie, że się to na nic nie zdało». Bałem się wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie przepelniać tego kielicha goryczy, z którego piły jego dziecinne wargi.

Coraz bardziej także niepokoiłem się o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i w końcu stał się prawie przezroczysty. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz stale. Wypiękniał tak, że zrobił się prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żal było patrzeć na tę główkę dziecinną, nawpół anielską, która sprawiała wrażenie wędnącego kwiatu. Na pozór niby nic mu nie było, ale niknął i tracił siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich ksią-

żek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko nie-
które, resztę sam nosilem, bom teraz codziennie
prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina
czekały od dwóch dni, a list pani Maryi, który
przyszedł wraz z nimi, zapowiadał, iż nas tam
wszyscy wyglądają z niecierpliwością. «Słysza-
łam, że ci, Michasiu, ciężko idzie — kończyła
pani Marya; — nie spodziewam się już celują-
cych, chciałabym tylko, by i nauczyciele twoi
myśleli tak, jak ja, że uczyniłeś wszystko, co
było w twojej mocy, i że dobrem sprawowaniem
staraleś się wynagrodzić niedostateczne postępy».

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym
względem, więc cenzura zawiodła i to oczeki-
wanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się
wprost sprawowania chłopca, o którym pani
Marya miała także odmienne pojęcie. W opinii
niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze
się sprawiało, które płaciło śmiechem za ich
drwiny z «polskiego zacofania», języka i tra-
dycji. Skutkiem takich pojęć etycznych, Mi-
chaś, jako niedający widoków, by mógł na
przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a za-
bierający napróżno miejsce innym, został usu-
nięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wieczno-

rem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg bardzo obfity padał na dworze, więcem nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w niem i bezmyślnie w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które nakształt tych płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wołałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam z kwadrans w przykrem milczeniu, a tymczasem zciemniło się prawie zupełnie. Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

— Co tam robisz, Michasiu?

— Prawda, — odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie — że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

— Być może. Czemu ci tak głos drży? czyś nie chory?

— Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno.

Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając go, patrzałem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie, jak

żdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czem było można.

— Ciepłej ci teraz?

— O tak! głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa, miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swemi wązkiemi piersiami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem, że także czulem się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, usnąłem prawie w tej samej chwili.

Kolo trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Otworzyłem oczy, i serce mi zabiło niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli: policzki jego paliły, oczy były przymknięte jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę w tył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

— *Conjunctivus: Amem, ames, amet, amemus, ametis...*

— Michasiu!

— *Conjunctivus: Amem, ames...*

Szarpnąłem go za ramię:

— Michasiu!

Rozbudził się i zaczął mrugać oczyma ze



zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

— Co ty robisz? co tobie, dziecko?

— Panie — odrzekł, uśmiechając się: — powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zanieśłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie, jak ogniem. Na szczęście, doktor mieszkał w tym samym domu, sprwadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebowaliśmy długo namyślać. Chwilę pottrzymał puls dziecka, potem rękę położył mu na czole: Michaś miał zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić.

Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depeszę do pani Maryi, i na drugi dzień dzwonek, targnięty gwałtownie w przedpokoju, zwiastował mi jej przybycie. Jakoż, otworzywszy drzwi, ujrzałem ją bladą pod czarnym kwefem, jak płótno; palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na mojem ramieniu, i cała dusza wybiegła do oczu, utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

— Żyje?

— Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem. Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za ręce. Dopiero gdym mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim twarz. Myśl jego natężała się widocznie, walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi, a w końcu wargi jego wyszep-tały:

— Mama!...

Ona chwyciła go za obie ręce i przesiadła tak przy nim kilka godzin, nie zrzucawszy nawet podróżnego ubrania. Dopiero, gdym zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

— Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusz.

Gdy go zdjęła, serce ścisnęło mi się dziwnem uczuciem: oto między blond włosami, zdobiącymi tę młodą, piękną głowę, switały gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i podawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się.

Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze śpiewów Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie. Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył się w sekrecie ministrantury, chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę — i teraz dreszcz mnie przejmował, gdym w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie, powtarzające przed śmiercią jednostajnym, gasnącym głosem: *Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!*

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne wrażenie robiły te słowa. Była to wigilia Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonków przy sankach. Miasto przybierało powierzchowność świąteczną i radosną. Gdy się zciemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę jarzącą się od świeczek, pozawieszaną złotymi i srebrnymi błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecinne jasne i ciemne, z lokami rozwianymi w powietrzu, skaczące jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia.

Miedzy głosami dochodzącymi z ulicy nie było innych tylko wesole, i radość stawiała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał, jakby z żalnością wielką: *Deus meus, Deus meus, quare me repulisti?* Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką, i wkrótce doszedł nas ich śpiew: »W żłobie leży, któż pobieży!« Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech czasem ustawał zupełnie. Nie było się co ludzić! Ta mała dusza była już nawpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność, i nie widział już nikogo i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała jak martwa na jego nogach. Zobojętniał i nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwiał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskiecce życia. Ręce dziecka, leżące na kołdrze, rysowały się już na niej z tą ciężką bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech coraz był

szybszy, a w końcu stał się podobny do szeptu zegarka. Chwila jeszcze, jedno westchnienie i ostatnie ziarnko piasku miało się zsypać z klepsydry: miał być koniec.

Koło północy zdawało nam się stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć, jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Maryi zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsenne i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i, położywszy się na sienniku, usnąłem. Obudził mnie głos pani Maryi. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: «Michasiu! Michasiu!» Włosy mi na głowie powstały, gdym zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; nim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę, i dygoczącymi wargami wyszeptała:

— Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszkę, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężalność wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś zmarł.

Nakryłem go kołdrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Maryę. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdląła, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem gdy zaczęto ubierać ciało, наконец gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywyklej do takich widoków, i przechodziła prawie w obłąd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atłasem, bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundurek i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokolo dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań,

zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okien-
nica nie puszczala światła dziennego, a żółty
migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór
jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu
jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Mi-
chasia twarzy tak roz pogodzonej. Delikatny jego
profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie,
jakby chłopiec w tej wieczystej reakcyi śmierci
upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migota-
nia świec nadawały twarzy jego i temu uśmie-
chowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, ko-
ledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta,
poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem
na widok świec, katafalku i trumny. Może te
małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi.
Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał
się jak i oni pod ciężarem tornistra, przełado-
wanego niemieckimi książkami, dostawał złe
stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne,
każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub
ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uro-
czysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy
zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną
trwogą — i nawet Owicki, choć prymus, nie-
wiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącając

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszce, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężalność wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś zmarł.

Nakryłem go koldrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Maryę. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdląła, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem gdy zaczęto ubierać ciało, na koniec gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywyklejdo takich widoków, i przechodziła prawie w obląd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atłasem, bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundurek i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokolo dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań,

zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okien-
nica nie puszczała światła dziennego, a żółty
migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór
jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu
jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Mi-
chasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego
profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie,
jakby chłopiec w tej wieczystej reakcyi śmierci
upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migota-
nia świec nadawały twarzy jego i temu uśmie-
chowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, ko-
ledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta,
poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem
na widok świec, katafalku i trumny. Może te
małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi.
Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał
się jak i oni pod ciężarem tornistra, przełado-
wanego niemieckimi książkami, dostawał złe
stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne,
każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub
ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uro-
czysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy
zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną
trwogą — i nawet Owicki, choć prymus, nie-
wiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącając

się łokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet «Herr Inspektor» przyszedł, to onby się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie — że on tam zupełnie, zupełnie może robić co mu się podoba, hałasować jak zechce i mówić do małych aniolków ze skrzydełkami pod szyją.

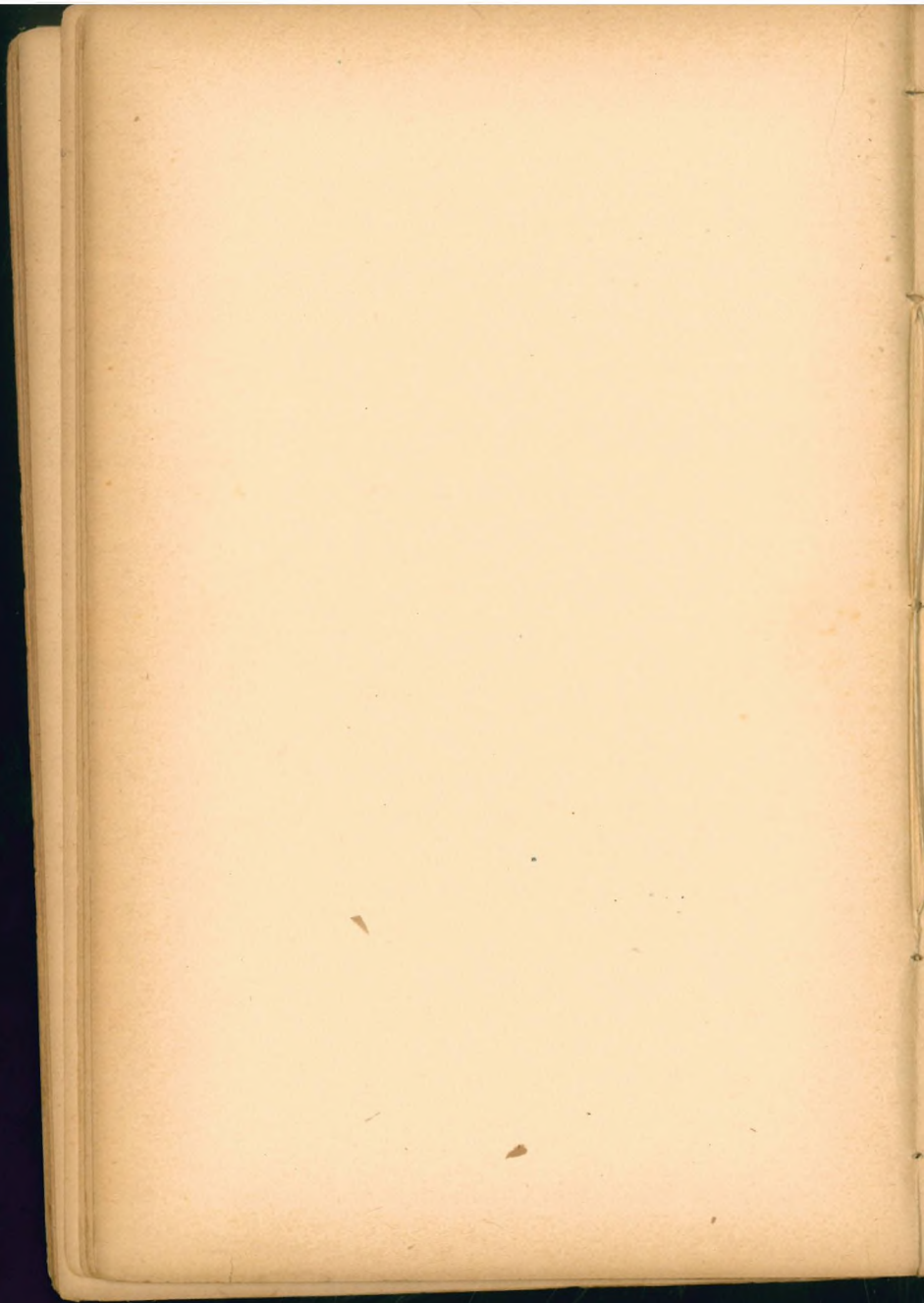
Tak szepcąc, zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali wieczny odpoczynek Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarzu, gdzie grudki piasku, pomieszane ze śniegiem, wkrótce ją skryły przed memi oczyma... na zawsze.

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku zawczasie uwiedły! Nie wiem, gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz więcej, że mu coraz ciężiej, samotniej, wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś...



ZA CHLEBEM



I.

Na oceanie. — Rozmyślanie. — Burza. — Przybycie.

Na szerokich falach oceanu kołysał się niemiecki statek «Blücher», płynący z Hamburga do New-Yorku.

Od czterech dni był już w drodze, a od dwóch minął zielone brzegi Irlandyi i wydostał się na pełnię. Z pokładu, jak okiem dojrzeć, widać było tylko zieloną i szarą równinę, pooraną w brózdy i zagony, rozkołysaną ciężko, miejscami zapienioną, w dali coraz ciemniejszą i zlewającą się z widnokregiem, pokrytym białymi chmurami. .

Blask tych chmur padał miejscami i na wodę, a na tem tle perłowem odrzynał się wyraźnie czarny kadłub statku. Kadłub ten, zwrócony dziobem ku zachodowi, to wspinał się pracowicie na fale, to zapadał w głęb, jakby tonął; czasem niknął z oczu, czasem wzniesiony na grzbiecie

bałwanu wynurzył się tak, że aż dno było mu widać, a szedł naprzód. Fala płynęła ku niemu, a on ku fali — i rozcinał ją piersiami. Za nim, jakby olbrzymi wąż, gonił biały gościec spienionej wody; kilka mew leciało za sterem, przewracając kozły w powietrzu i kwiląc, jakby polskie czajki.

Wiatr był dobry; statek szedł połową pary, a natomiast rozpiął żagle. Pogoda znaczyła się coraz lepsza. Miejscami pomiędzy poszarpanemi chmurami widać było kawały błękitu nieba, zmieniające kształt ustawicznie. Od chwili, jak «Blücher» opuścił port hamburski, czas był wietrzny, ale bez burzy; wiatr dął ku zachodowi, chwilami jednak ustawał: wówczas żagle opadały z łopotem, aby następnie znowu wydać się naksztalt piersi łabędziej. Majtkowie, poubierani we włóczkowe obcisłe kaftany, ciągnęli linę dolnej rei wielkiego masztu i krzycząc żałośnie: «Ho—ho—o!» — pochylali się i prostowali w takt do śpiewu, a wołania ich mieszały się ze świstem piszczałek miczmeńskich i z gorączkowym oddechem komina, wyrzucającego przerywane kłęby lub pierścienie czarnego dymu.

Korzystając z pogody, pasażerowie powysypywali się na pokład. Na tyle okrętu widać

było czarne paletoty i kapelusze podróżnych z pierwszej klasy; na przodzie pstrzyła się różnobarwna gawiedź emigrantów, jadących pod pokładem. Niektórzy z nich siedzieli na ławkach, paląc krótkie fajki, inni pokładli się, inni, poopierani o burty, spoglądali na dół w wodę.

Było i kilka kobiet z dziećmi na ręku i blaszanemi naczyniami, pouwiązywanemi do pasa; kilku młodych ludzi przechadzało się wzdłuż od dzioba aż do pomostu, chwytając z trudnością równowagę i zataczając się co chwila; ci śpiewali: «*Wo ist das deutsche Vaterland?*» i może myśleli, że tego «*Vaterlandu*» nigdy już nie zobaczą, ale mimo to weselość nie schodziła im z czoła. Pomędzy wszystkimi ludźmi dwoje było najsmutniejszych i jakby od reszty odłączonych: stary mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje, nie rozumiejąc po niemiecku, byli prawdziwie samotni i wśród obcych. Kto oni byli — każdy z nas na pierwszy rzut oka by to odgadł — chłopci polscy.

Chłop nazywał się Wawrzon Toporek, a dziewczyna, Marysia, była jego córką. Jechali do Ameryki i przed chwilą po raz pierwszy ośmielili się wyjść na pokład. Na zbiedzonych chorobą ich twarzach malował się przestrah i zdzi-

wienie zarazem. Wylękłemi oczyma spoglądali na towarzyszków podróży, na majtków, na statek, na komin oddychający gwałtownie i na groźne wały wodne, ciskające grzywę piany aż do burt statku. Nie mówili do siebie nic, bo nie śmieli. Wawrzon trzymał się jedną ręką za poręcz, drugą za czapkę rogatą, żeby mu jej wiatr nie zerwał, a Marysia trzymała się tatula, i ile razy statek pochylił się mocniej, tyle razy przytulała się do niego silniej, wykrzykując pocichu ze strachu. Po jakimś czasie stary przerwał milczenie:

- Maryś!
- A co?
- Widzisz?
- Widzę.
- A dziwujesz się?
- Dziwuję się.

Ale więcej się jeszcze bała, niż dziwiła; stary Toporek to samo. Szczęściem dla nich, fala zmniejszała się, wiatr ustawał, a przez chmury przedarło się słońce. Gdy ujrzeli «słonko kochane», lżej im się zrobiło na sercu, bo sobie pomyśleli, że «ono takuteńkie, jak w Lipińcach». Jakoż wszystko było dla nich nowem i nieznanem, tylko ten krąg słoneczny, jarzący,

a promienny wydał im się jakby dawnym przyjaciелеm i opiekunem.

Tymczasem morze wyglądało się coraz więcej; po jakimś czasie żagle opadły, z wysokiego pomostu rozległa się świstawka kapitana, i majtkowie rzucili się je upinać. Widok tych ludzi, zawieszonych jakby w powietrzu nad otchłanią, przejął znów zdumieniem Toporka i Marysię.

— Nasze chłopaki nie potrafiliby tak — rzekł stary.

— Kiej Niemcy wleźli, to Jaśkoby wlaź! — odparła Marysia.

— Który Jaśko? Sobków?

— Gdzie ta Sobków! Powiadam Smolak, koniucha.

— On je chwacki, ale ty go sobie z głowy wybij. Ni jemu do ciebie, ni tobie do niego. Ty jedziesz panią być, a on jak był koniuchą, tak się i zostanie.

— On też kolonię ma...

— Ma, to w Lipińcach.

Marysia nie odrzekła nic, pomyślała sobie tylko, że co komu przeznaczone, to go nie minie, i westchnęła tęsknie, a tymczasem żagle były już upięte, natomiast śruba zaczęła tak

silnie burzyć wodę, że aż cały statek drżał od jej ruchów. Ale kołysanie ustalo prawie zupełnie. W oddali woda wydawała się już nawet gładką i błękitną. Coraz nowe postacie wydobywały się z pod pokładu: robotnicy, chłopci niemieccy, próżniacy uliczni z różnych miast nadmorskich, którzy jechali do Ameryki szukać szczęścia, nie pracy; tłok zapanował na pomoście, więc Wawrzon z Marysią, by nie leżeć nikomu w oczy, usiedli na zwoju lin w samym kątku wedle dzioba.

— Tatulu, długo jeszcze pojedziewa bez wodę? — pytała Marysia.

— Czy ja wiem? Kogo się spytasz, nikt ci nie odpowie po katolicku.

— A jakże my będziewa w Ameryce się rozmawiać?

— Albo to nie mówili, że tam naszego narodu chmara jest?

— Tatulu!

— Czego?

— Dziwować się, to się i dziwować, ale za wdyk w Lipińcach było lepiej.

— Nie bluźniłabyś po próżnicy.

Po chwili jednak Wawrzon dodał, jakby mówiąc sam do siebie:

— Wola Boża!...

Dziewieczynie oczy nabrały łzami, a potem oboje zaczęły rozmyślać o Lipińcach. Wawrzon Toporek rozmyślał, dlaczego jechał do Ameryki i jak się to stało, że jechał. Jak się stało? Oto przed pół rokiem w lato zajęli mu krowę z koniczyny. Gospodarz, który ją zajął, chciał trzy ruble za szkodę. Wawrzon nie chciał dać. Poszli do sądu. Sprawa przewlokła się od wyroku. Poszkodowany gospodarz żądał już nie tylko za krowę, lecz i za kosztą jej utrzymania, a koszty rosły z każdym dniem. Wawrzon się upierał, bo żał mu było pieniędzy. Na sam proces wydał już немало; wlokło się i wlokło. Koszta ciągle rosły. Nakoniec przegrał Wawrzon sprawę. Za krowę już się Bóg wie co należało; że zaś nie miał czem płacić, zajęli mu konia, a jego za opór skazali do aresztu. Toporek wił się jak wąż, bo żniwa właśnie nadeszły, więc i ręce i sprzężaj potrzebne były do roboty. Opóźnił się ze zwózką, potem też zaczęły padać deszcze; zboże porosło mu w snopach, więc pomyślał, że przez jedną szkodę w koniczynie cała jego chudoba pójdzie na marne, że stracił tyle pieniędzy, część inwentarza, całoroczny plon — i że na przednówku chyba ziemię będą gryźli

oboje z dziewczyną, albo pójdą po proszonym chlebie.

Że zaś przedtem chłop był dostatni, i dobrze mu się wiodło, zdjęła go tedy rozpacz straszna, i począł pić. W karczmie poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o len zamawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywodził. Niemiec powiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał darmo tyle, ile w całych Lipińcach nie było — i z borem, i z łąkami, a chłopu aż się oczy śmiały. Wierzył i nie wierzył, ale Niemcowi Żyd pachciarz wtórował i mówił, że tam rząd daje ziemi każdemu, «ileby kto wstrzymał». Żyd to wiedział od swojego synowca. Sam Niemiec pokazywał pieniądze, jakich nietylko chłopskie, ale i dziedzicowe oczy jako żywo nie widziały. Chłopa kusili, aż go skusili. A jemu to po co zostawać? Toż za jedną szkodę stracił tyle, że parobka mógłby za to utrzymać. Ma-li się na zatracenie podawać? Ma-li wziąć w rękę kij z jeżem i śpiewać pod kościołem: «Święta niebieska, Pani anielska?» — Nic z tego nie będzie! — pomyślał. Niemca dłonią w dłoń uderzył, do św. Michała się wyprzedził, córkę wziął — i oto płynął teraz do Ameryki.

Ale podróż nie znaczyła mu się tak dobrze, jak się spodziewał. W Hamburgu obdarli ich bardzo z pieniędzy; na statku jechali we wspólnej sali pod pokładem. Kolysanie się statku i nieskończoność morska przerażały ich. Nikt go nie mógł zrozumieć, ani on nikogo. Rzucano nimi obojgiem, jak rzeczą jaką; popychano go, jak kamień przy drodze; Niemcy towarzysze drwili z niego i z Marysi. W porze obiadowej, gdy wszyscy cisnęli się z naczyńiami do kucharza rozdającego strawę, ich odpychano na sam koniec, tak, że i głodem przyszło nieraz przymrzeć. Było mu na tym statku źle, samotno, obco. Oprócz opieki Bożej, nie czuł nad sobą innej. Miną przy dziewczynie nadrabiał, czapkę na bakier przekrzywił, kazał się dziwić Marysi i sam się dziwił wszystkiemu, ale nie ufał niczemu. Chwilami ogarniała go obawa, że może te «pogany», jak nazywał towarzyszków, w wodę ich oboje wrzuca, może mu każą wiarę zmienić, albo papier jaki podpisać, ba! choćby i cyrograf!

Sam ten statek, który szedł naprzód dzień i noc po bezmiarach morskich, który trząsł się, huczał, pieniał wodę, oddychał jak smok, a nocą ciągnął za sobą warkocz iskier ognistych, wy-

dawał mu się jakąś siłą podejrzaną i wielce nieczystą. Dziecinne obawy, choć się do nich nie przyznawał, ściszały mu serce; bo też ten polski chłop, oderwany od ojczystego gniazda, był naprawdę dzieckiem bezradnem i naprawdę był na woli Bożej. Przytem wszystko to, co widział, co go otaczało, nie mogło mu się w głowie pomieścić; więc nic dziwnego, że, gdy siedział teraz oto na zwoju lin, głowa ta chyliła się pod brzemieniem ciężkiej niepewności i frasunku. Powiew morski grał mu w uszach i powtarzał jakby słowo: «Lipińce! Lipińce!» Czasem też poświstywał, jakby lipinieckie fujarki; słońce mówiło: »Jak się masz, Wawrzonie? byłem w Lipińcach» — ale śruba burzyła wodę coraz gwałtowniej, i komin oddychał coraz szybciej, głośniej, niby dwa złe duchy, które ciągnęły go dalej i dalej od Lipiniec.

Tymczasem za Marysią płynęły inne myśli i wspomnienia, a płynęły, jako on spieniony gościniec, lub jak mewa za okrętem. Wspominała oto, jako jesienią, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem poszła do studni, do żórawianej, w Lipińcach wodę brać. Pierwsze gwiazdy zamigotały już na niebie, a ona ciągnęła żórawia, śpiewając: «Jasio konie poil — Kasia wodę

brała» — i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem świergocze żałośnie... Potem z pod boru, z pod ciemnego, ozwała się przeciągle ligawka, a to Jaśko Smolak, koniucha, dawał znać, że widzi, jako się żóraw chyli, i że zaraz nadjedzie z «potrawów». Jakoż zadudniało, nadjechał, zeskoczył ze żrebca, potrząsnął konopną czupryną, a co jej mówił, to wspominała jakby granie jakie. Przymknęła oczy, i zdawało się jej, że Smolak znowu szepce do niej drgającym głosem:

— Kiej się twój tatulo uparli, to i ja zadatek dworski oddam, chałupinę sprzedam, kolonię sprzedam i pojedę... Maryś moja, — mówił — gdzie ty będziesz, tam i ja żórawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym pierścieniem się po gościńcu potoczę, a znajdę cię, jedyna! Albo dola jakowa bez ciebie? gdzie ty się obrócisz, tam i ja się obrócę; co się z tobą stanie, to stanie się i ze mną; jedno nam życie i jedna śmierć: a jakom ci tu nad tą wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeślić ja cię opuszcze, Maryś moja jedyna.

Wspominając te słowa, Marysia widziała i oną studnię, i miesiąc wielki, czerwony nad borem, i Jaśka jakby żywego. Miała też w tem roz-

myśłaniu ulgę i pociechę wielką. Jasiek chłop był zawzięty, więc wierzyła, że co rzekł, to i spełni. Ot! chciałaby tylko, żeby teraz był przy niej i słuchał z nią razem morskiego szumu. Z nimby było weselej i rażniej, bo on się nikogo nie bał i radę sobie umiał wszędzie dać. Co on tam robił teraz w Lipińcach, kiedy już pierwsze śniegi spaść musiały? Czy do boru z siekierą pojechał, czy konie obrządzał, czy może go ze dworu z saniami gdzie posłali? czy poręble na stawie rąbał? Gdzie on jest teraz serdeczny? Tu dziewczynie uwidziały się Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnemi gałęziami bezlistnych drzew, stada wron, ciągnące z krakaniem od boru ku wsi, dymy idące z kominów ku górze, zamarzły żóraw przy studni, a w dali bór od zorzy czerwony i śniegiem przytrząśnięty.

Hej! gdzie to ona teraz była! gdzie ją tatu-siowa wola zawiodła! W dali, jak okiem sięgnąć, jeno woda i woda, zielonawe brózdki i zapienione zagony, a na onych wodnych polach niezmiernych ten jeden okręt, ptak zabłąkany; niebo na górze, pustynia na dole, szum wielki i niby płkanie fal i poświst wiatru, a tam,

przed dziobem statku, chyba dziewiąta ziemia, chyba kraj świata.

Jaśku nieboże! czy ty tam trafisz za nią? czy sokolem przez powietrze polecisz, czy rybą przez wodę popłyniesz? czy to o niej myślisz z Lipińcach?.

Powoli słońce chyliło się ku zachodowi i zapadało w ocean. Na pomarszczonej fali usłal się szeroki słoneczny gościniec, udzierzgał w luskę złotą, mienił się, polyskiwał, świecił, płonął i ginał gdzieś na dalekościach. Okręt, wpłynawszy na tę wstęgę ognistą, zdawał się gonić uciekające słońce. Dym, buchający z komina, stał się czerwony, żagle i wilgotne liny różowe, majtkowie zaczęli śpiewać, tymczasem promienny krąg stawał się coraz większy i coraz niżej zapadał w toń. Wkrótce polowę już tylko tarczy widać było nad falą, potem tylko promienie, a potem na całym zachodzie rozlała się jedna wielka zorza, i już niewiadomo było w tych blaskach, gdzie się kończy światłość fal, a zaczyna niebo, powietrze i woda, zarówno nasiąkłe światłem, które gasło stopniowo. Ocean szumiał jednym wielkim, ale łagodnym szumem, jakby mruczał pacierz wieczorny.

W takich chwilach dusza dostaje skrzydeł

w człowieku i co ma pamiętać — pamięta, co ukochał — kocha goręcej, po czym tęskni, do tego leci. Wawrzon i Marysia uczuli też oboje, że choć ich tam wiatr niesie jako liście marne, przecie drzewo ich rodzime to nie ta strona, w którą jechali, ale tamta, z której odjechali: polska ziemia, ona zbożna, jednym łanem się kolysząca, borem zarosła, słomianemi strzechami upstrzona, pełna łąk od kaczeńca złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskólek, krzyżów przydrożnych, białych dworów wśród lip; ona, co czapką rogatą pod nogi ima, słowami «Pochwalony!» wita, a «Na wieki wieków» odpowiada; ona wielmożna, ona matka najśłodsza, taka pocziwa, ukochana nad wszystkie inne na świecie. Więc czego ich chłopskie serca przedtem nie czuły, to teraz uczuły. Wawrzon zdjął czapkę, światło zachodnie padło na siwiejące włosy, myśl jego pracowała, bo biedak nie wiedział, jak miał Marysi to, co mu się zdawało, powiedzieć, nareszcie rzekł:

— Maryś, tak mi się widzi, jakby tam coś zostało za morzem.

— Dola ostała i kochanie ostało — odrzekła cicho dziewczyna, wznosząc oczy, jakby do pacierza...

Tymczasem ściemniło się: podróżni zaczęli schodzić z pokładu; na okręcie panował jednak ruch niezwykły. Po pięknym zachodzie niezawsze noc bywa spokojna, dlatego świstawki oficerskie rozlegały się ustawicznie, a majtkowie ciągnęli liny. Ostatnie purpurowe blaski zgasły na morzu, a jednocześnie z wody podniosła się mgła; gwiazdy zamigotały na niebie i zniknęły. Mgła gęstniała w oczach, przesłaniając niebo, widnokrąg i sam okręt. Widać było tylko jeszcze komin i wielki maszt środkowy; postacie marynarzy wydawały się zdaleka jakby cienie. W godzinę później wszystko ukryło się w białawym тумanie, nawet latarnia, którą zawieszono na szczycie masztu, nawet iskry, które wydychał komin.

Okręt nie kołysał się wcale. Rzekłby kto, że fala osłabła i rozlała się pod ciężarem mgły.

Noc zapadała prawdziwie ślepa i cicha. Nagle wśród tej ciszy z najdalszych krańców widnokręgu ozwały się dziwne szmery. Był to niby ciężki oddech jakiejś olbrzymiej piersi, który się zbliżał. Chwilami zdawało się, że ktoś wołał z cienia, potem ozwały się całe chorowody głosów dalekie, a niezmiernie żalosne i jakoby

skarżące się płaczliwie. Nawoływania te biegły z ciemni i nieskończoności ku okrętowi.

Majtkowie, słysząc takie gwary, mówią, że to burza zwołuje z piekiel wiatry.

Jakoż zapowiedzi coraz były wyraźniejsze. Kapitan, odziany w gumowy płaszcz z kapturem, stanął na wyższym pomoście; oficer zajął swe zwykle miejsce przed oświetlonym kompasem. Na pokładzie nie było już nikogo z podróжных. Wawrzon z Marysią zeszli także do wspólnej sali pod pokładem. Panowała w niej cisza. Światła lamp umocowanych w bardzo niskiem sklepieniu oświetlały ponurem światłem wnętrze i gromadki emigrantów, siedzące wedle łóżek przy ścianach. Sala była duża, ale posępna, jak zwykle sale czwartej klasy. Pułap jej schodził się prawie z bokami statku, dlatego owe łóżka na krańcach, poprzedzielane przepierzeniami, podobniejsze były do nór ciemnych, niż do łóżek, a i cała sala robiła wrażenie jednej ogromnej piwnicy. Powietrze w niej było przesycone zapachem smolnego płótna, lin okrętowych, ropy morskiej i wilgoci. Gdzie tu szukać porównania z pięknymi salonami pierwszej klasy! Przejazd choćby dwutygodniowy w takich salach zatruwa płuca niezdrowem powie-

trzem, powleka wodnistą bladością skórę na twarzy i często prowadzi za sobą szkorbut. Wawrzon z dziewczyną jechali dopiero dni cztery, a jednak gdyby ktoś porównał dawną Marysię lipiniecką, zdrową, rumianą, z dzisiejszą wynędzniałą przez chorobę, tenby jej nie poznał. Stary Wawrzon też zżółkł, jak воск, ile że przez pierwsze dni nie wychodzili wcale oboje na pokład. Myśleli, że niewolno. Albo zresztą wiedzieli co wolno, a co nie? Nie śmieli się prawie ruszyć, zresztą bali się odejść od rzeczy. Siedzieli i teraz nietylko oni, ale i wszyscy przy swoich. Takimi węzelkami emigranckimi zarzucona była cała sala, co powiększało jej nieład i smutny widok. Pościel, ubranie, zapasy żywności, rozmaite narzędzia i naczynia blaszane pomieszane z sobą, rozrzucone były w mniejszych i większych kupkach po całej podłodze. Na nich siedzieli emigranci, prawie sami Niemcy. Jedni żuli tytoń, inni palili fajki: kłęby dymu odbijały się o niski pułap i układając się w długie pasma, przesłaniały światło lamp. Kilkoro dzieci płakało po kątach, ale zwyczajny gwar ustał, bo mgła przejęła wszystkich jakimś smutkiem, obawą i niepokojem. Doświadczeni z emigrantów wiedzieli, że wróży burzę. Nikomu

zresztą nie było już tajno, że niebezpieczeństwo, a może śmierć się zbliża. Wawrzon i Marysia nie mogli się w niczem zmiarkować, chociaż, gdy kto drzwi na chwilę odemknął, słyhać było wyraźnie owe dalekie, złowróżbne głosy, idące z nieskończoności.

Siedzieli oboje w głębi sali, w najwęższym jej miejscu, zatem niedaleko dzioba. Kołysanie było tam bardzo dokuczliwe, więc tam wepchnęli ich towarzysze podróży. Stary posilał się chlebem jeszcze lipinieckim, a dziewczyna, której przykrzyło się nic nie robić, zaplatała sobie na noc włosy.

Powoli jednak milczenie ogólne, przerywane tylko płaczem dzieci, zaczęło ją dziwić.

— Czemu to Niemcy tak dziś cicho siedzą? — spytała.

— Czy ja wiem! — odpowiedział jak zwykle Wawrzon: — musi to u nich święto jakie, albo co...

Nagle statek wstrząsnął się silnie, zupełnie jakby się wzdrygnął przed czemś strasznym. Naczynia blaszane, leżące koło siebie, zadźwięczały posępnie, płomienie w lampach podskoczyły i błysnęły mocniej, kilka wystraszonych głosów poczęło pytać:

— Co to jest? co to jest?

Ale nie było odpowiedzi. Drugie wstrząśnienie, silniejsze od pierwszego, szarpnęło statkiem; dziób jego podniósł się nagle i równie nagle zniżył, a jednocześnie fala glucho uderzyła w okrągłe okienko jednego boku.

— Burza idzie! — szeptała przestraszonym głosem Marysia.

Tymczasem zaszumiało coś koło statku jak bór, którym wichur nagle pożenie; zawyło, jakby stado wilków ryknęło. Wiatr uderzył raz i drugi, położył statek bokiem, a później okręcił nim naokoło, porwał go w górę i cisnął nim w otchłanie. Wiązania poczęły skrzypieć, blaszane naczynia, węzłki z rzeczami, tłomoki i narzędzia latały po podłodze, przewalane z kąta w kąt. Kilku ludzi padło na ziemię; pierze z poduszek jęło latać po powietrzu, a szkła w lampach zadźwięczały smutnie.

Rozległ się szum, łoskot, chlupotanie wody, przelewającej się przez pokład, targanina statku, krzyk kobiet i płacz dzieci, gonitwa za rzeczami, a wśród tego zamieszania i chaosu słychać było tylko przeraźliwy świst piszczalek i od czasu do czasu głucho tupotanie majtków, biegających po górnym pokładzie.

— Panienko Częstochońska! — szeptała Marysia.

Dziób okrętu, w którym oboje byli umieszczeni, wlatywał w górę, a potem spadał jak szalony. Chociaż trzymali się krawędzi tapczanów, rzucało nimi tak, że chwilami uderzali o ściany. Ryk fal powiększał się, a skrzypienie pułapu stało się tak przeraźliwe, iż zdawało się, że lada chwila belki i deski pękną z trząskiem.

— Trzymaj się, Maryś! — krzyczał Wawrzon, aby przekrzyczeć huk burzy, ale wkrótce trwoga ścisnęła za gardło i jego i innych. Dzieci przestały płakać, kobiety krzyczeć; wszystkie piersi oddychały tylko pośpiesznie, a ręce z wysiłkiem trzymały się różnych nieruchomych przedmiotów.

Wściekłość burzy rosła ciągle. Rozpętały się żywioły, mgła powiększała się z ciemnością, chmury z wodą, wicher z pianą; fale biły o statek jak z armat i rzucały nim na prawo, w lewo i od chmur aż do dna morskiego. Chwilami spienione grzywy balwanów przechodziły całą jego długość; olbrzymie masy wody wrzały jednym strasznym zamętem.

Olejne lampy zaczęły w sali gasnąć. Robiło

się coraz ciemniej, więc Wawrzonowi i Marysi zdawało się, że to już przychodzi ciemność śmierci.

— Maryś! — poczał chłop przerywanym głosem, bo mu oddechu brakło: — Maryś, odpuść mi, żem cię na zgubę podał. Już nasza ostatnia godzina nadeszła. Nie będziawa my grzesznemi oczyma świata oglądali. Ni nam spowiedź, ni nam pomazanie, ni nam w ziemi leżeć, ino z wody na straszny sąd iść, niebogo.

A gdy tak mówił, Marysia zrozumiała, że niema już ratunku. Myśli różne przelatywały jej przez głowę, a w duszy krzyczało coś:

— Jaśku, Jaśku serdeczny, czy ty mnie słyszysz w Lipińcach?

I żal okrutny ścisnął jej serce tak, że poczęła szlochać głośno. Szlochania rozlegały się w tej sali, gdzie wszyscy ludzie milczeli, jakby na pogrzebie jakim. Jeden głos krzyknął z kąta: «*Still*», ale umilkł, jakby przestraszony własnym dźwiękiem. Tymczasem szkło lampy znowu upadło na ziemię, a płomień zgasł. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Ludzie zbijali się w jeden kąt, by być bliżej siebie. Trwoga milczenia panowała wszędzie, gdy nagle wśród ciszy rozległ się głos Wawrzona:

— Kyrie Elejson!

— Chryste Elejson — odpowiedziała, lkając, Marysia.

— Chryste, wysłuchaj nas!

— Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami! — Mówili oboje litanie. W ciemnej sali głos starego i przerywane łkaniem odpowiedzi dziewczyny brzmiały z dziwną uroczystością. Niektórzy z emigrantów poodkrywali głowy. Powoli płacz dziewczyny ustał, głosy stały się spokojniejsze, czystsze. Zewnątrz do wtóru im wyla burza.

Nagle krzyk się rozległ między stojącymi bliżej wejścia. Bałwan wybił drzwi i runął na salę; woda z szelestem rozplynęła się po wszystkich kątach: kobiety poczęły wrzeszczeć i chronić się na łóżka. Zdawało się wszystkim, że to już koniec.

Po chwili wszedł oficer służbowy z latarką w rękę, cały mokry i zaczerwieniony. W kilku słowach uspokoił kobiety, że woda dostała się tylko wypadkiem, potem dodał, że ponieważ statek na pełnem morzu, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Jakoż upłynęła godzina, dwie. Burza srożyła się coraz wścieklej. Statek skrzypiał, zapadał nosem, osadzał palubą, kładł się na

boki, ale nie tonął. Ludzie uspokoili się potrochu; niektórzy poszli spać. Upłynęło znów kilka godzin; do ciemnej sali przez górne okratowane okno poczęło się wdzierać szare światło. Dzień robił się na oceanie blady, jakby przestraszony, smutny, ciemny; ale przynosił jakąś otuchę i nadzieję. Odmówiwszy wszystkie modlitwy, jakie umieli na pamięć, Wawrzon i Marysia wczolgnęli się na swoje tapczany i usnęli głęboko.

Przebudził ich dopiero głos dzwonka, wzywający na śniadanie. Ale nie mogli jeść. Głowy ciążyły im, jakby ołowiem; stary jednak czuł się jeszcze gorzej od dziewczyny. W jego skostniałej głowie nie mogło się teraz nic pomieścić. Niemiec, który do Ameryki namawiał, mówił mu wprawdzie, że trzeba jechać przez wodę, ale on nigdy nie myślał, żeby przez tak wielką, że przez tyle dni i nocy. Myślał, że promem przejedzie, jako już nieraz w życiu przejeżdżał. Gdyby był wiedział, że morze tak ogromne, byłby został w Lipińcach. Prócz tego jeszcze jedna myśl kołatała się w nim niespokojnie: oto czy duszy swojej i dziewczyninej na zatracenie nie podawał? czy to nie grzech dla katolika z Lipiniec kusić Pana Boga i puszczać się na takie odměty, przez które trzeba było już piąty

dzień jechać do drugiego brzegu, jeśli wogóle istniał jaki brzeg z drugiej strony? Wątpliwości jego i strach miały jeszcze rosnać przez dni siedm, sama burza szalała jeszcze przez czterdzieści ośm godzin, potem jakoś się przetało. Ośmielili się znów wyjść z Marysią na pokład, ale gdy ujrzeni zwały wody, rozkołysanej jeszcze, czarnej i jakby rozzłoszczonej, owe góry mokre, ciągnące na statek, i bezdenne ruchome doliny, znowu pomyśleli, że ich chyba ręka Boża, albo inna jaka siła, a nie moc ludzka z tych przepaści wyratuje.

Wypogodziło się wreszcie zupełnie. Ale upływał dzień za dniem, a przed statkiem ciągle widać było tylko toń i toń bez końca, czasem zieloną, czasem błękitną, zlewającą się z niebem. Po onem niebie przelatywały chwilami wysoko małe, jasne chmury, które, poczerwieniawszy wieczorem, kładły się spać na dalekim zachodzie. Okręt gonił za niemi wodą. Wawrzon naprawdę pomyślał, że chyba morze nie kończy się wcale, ale zebrał odwagę i postanowił się pytać.

Razu jednego zdjął rogatą czapkę i, podjąwszy nią pokornie pod nogi przechodzącego majtka, rzekł:

— Wielmożny panie, a prędko dobijewa do przewozu.

O dziwo! majtek nie parsknął śmiechem, ale stanął i słuchał. Na posiekanej wiatrem i czerwonej twarzy jego znać było pracę pamięci i jakichś wspomnień, które nie mogły odrazu w świadomą myśl się ułożyć... Po chwili spytał:

— *Was?*

— Prędko dobijewa do lądu, wielmożny panie?

— Dwa dni! dwa dni! — powtarzał z trudnością marynarz, pokazując jednocześnie dwa palce.

— Dziękuję pokornie.

— Skąd wy?

— Z Lipiniec.

— *Was ist das Lipiniec?*

Maryś, która nadeszła w czasie rozmowy, zarumieniła się okrutnie, ale podniósłszy nieśmiało na majtka oczy, rzekła cienkim głosem, jako mówią dziewczki wiejskie:

— My z Poznania, proszę pana...

Majtek począł spoglądać w zamyśleniu na mosiężny gwóźdź łączący burty; potem spojrzał na dziewczynę, na jej jasną jak len głowę, i coś, niby rozrzewnienie, wybiło się na jego popękaną twarz.

Po chwili rzekł poważnie:

— Ja byłem w Gdańsku... rozumiem po polsku... Ja Kaszuba... wasz bruder, ale to dawno! *Jetzt ich bin Deutsch...*

To rzekłszy, podniósł koniec liny, którą poprzednio trzymał w ręku, odwrócił się i, wykrzyknąwszy po marynarsku: «ho! ho! o!» pociągnął ją ciągnąć...

Odtąd, ilekroć Wawrzon z Marysią byli na pokładzie, ujrzawszy ich, uśmiechał się do Marysi przyjaźnie. Oni też radowali się bardzo, bo przecież mieli jakąś żywą duszę przychylną na tym niemieckim okręcie. Zresztą droga nie miała już trwać długo. Drugiego dnia rankiem, gdy wyszli na pokład, dziwny widok uderzył ich oczy. Oto ujrzeli zdala coś kołyszącego się na morzu, a gdy statek zbliżył się do tego przedmiotu, rozpoznali, że to była wielka czerwona beczka, którą fale poruszały łagodnie; w dali czerniała druga taka, trzecia i czwarta. Powietrze i woda były trochę zamglone, ale niezbyt, przytem srebrne i łagodne, toń gładka, nie szumiąca, ale jak okiem sięgnął, coraz więcej beczek kołysało się na wodzie. Ptactwa też białego z czarnymi skrzydłami chmury całe leciały za statkiem z piskiem i krzykiem. Na po-

kładzie panował ruch niezwykle. Majtkowie przywdziali nowe kaftany; jedni myli pokład, inni czyścili mosiężne spojenia burt i okien, na maszcie wywieszono jedną chorągiew, a na tyle statku drugą większą.

Ożywienie i radość ogarnęły wszystkich podróżnych; co tylko żyło, wybiegło na pokład; niektórzy powynosili na wierzch tłumoki i poczęli na nich pasy przyciągać.

Widząc to wszystko, Marysia rzekła:

— Pewnikiem dobijewa do lądu.

Duch lepszy wstąpił w nią i w Wawrzona. Aż tu na zachodzie pokazała się naprzód wyspa Sandy-Hok, i druga z wielkim gmachem, stojącym w pośrodku, a w dali niby zgęstniała mgła, niby chmura, niby dymy jakieś, pasmami po morzu rozwleczone, niewyraźne, dalekie, zmaćcone, bezkształtne... Na ich widok powstał gwar wielki: wszyscy wskazywali je rękoma, statek też zaświstał przeraźliwie, jakby z radości.

— Co to jest? — pytał Wawrzon.

— Nowy-Jork — odrzekł stojący obok Kaszuba.

Wtem owe dymy poczęły jakby rozstępować się i ginać, a na ich tle, w miarę jak okręt prób

srebrną wodę, występowały zarysy domów, dachów, kominów; spiczaste wieże rysowały się coraz wyraźniej na błękiecie, obok wież wysokie kominy fabryczne, nad kominami słupy dymów, rozwiane w puszyste kiście na górze. Na dole przed miastem las masztów, a na ich szczytach tysiące pstrych chorągiewek, któremi powiew morski migotał, jakby kwiatami na łące. Okręt zbliżał się i zbliżał, śliczne miasto wynurzyło się jakby z pod wody. Wielka radość i zdumienie ogarnęły wówczas Wawrzona; czapkę zdjął, usta otworzył i patrzył, patrzył, a potem do dziewczyny:

— Maryś!

— O dla Boga!

— Widzisz?

— Widzę.

— A dziwujesz się?

— Dziwuję się.

Wawrzon jednak nietylko już podziwiał, ale łaknął. Widząc zielone brzegi po obydwóch stronach miasta i ciemne smugi parków, mówił dalej:

— A no! Chwalić Boga! Żeby jeno dali ziemię zara kiele miasta z tą oną łączką, bliżejby było na targ. Przyjdzie jarmark: krowę po-

gnasz, świnie pognasz, to i sprzedasz. Narodu tu widać jak maku. Ja że w Polsce chłop, a tu będę pan...

W tej chwili przepyszny «National-Park» rozwinął się przed jego oczyma w całej swej długości. Wawrzon, ujrzawszy owe grupy i bukiety drzew, rzekł znowu:

— Pokłonię się wielmożnemu komisarzowi od rządu nisko, przymówię się zręcznie, żeby mi choć ze dwie włóki tego boru podarował, a nareszcie zbiórkę. Kiej dziedzictwo, to dziedzictwo. Parobka się z drzewem rano do miasta pośle. Chwała Najwyższemu, boć widzę, że mnie Niemiec nie zdurzył...

Marysi też jakoś się państwo uśmiechało, i sama nie wiedziała czemu, do głowy przyszła jej piosenka, jaką w Lipińcach panny młode na weselach panom młodym śpiewały:

Cóżeś to za pan?
Cóżeś to za pan?
Cała twoja sukiencyja
Czapka i żupan...

Czy może już miała zamiar zaśpiewać coś podobnego biednemu Jaśkowi, gdy za nią przyjedzie, a ona będzie już dziedziczką?

Tymczasem od kwarantanny przyleciał do

okrętu mały statek. Czterech czy pięciu ludzi weszło na pokład. Zaczęły się rozmowy i nawoływania. Wkrótce drugi statek nadpłynął z samego już miasta, przywożąc agentów z hotelów i z Boarding-housów, przewodników, ludzi wymieniających pieniądze, agentów kolejowych: wszystko to krzyczało w niebogłose, popychało, kręciło się po całym pokładzie. Wawrzon i Marysia wpadli jakby we młyn jaki i nie wiedzieli co począć.

Kaszuba poradził staremu, by zmienił pieniądze, i obiecał, że nie da go oszukać, więc też Wawrzon to uczynił. Za to, co miał, dostał czterdzieści siedm dolarów srebrem. Nim wszystko to się odbyło, okręt zbliżył się tak do miasta, że już widać było nietylko domy, lecz i ludzi stojących na bulwarku, potem mijał co chwila różne statki i większe i mniejsze, nakoniec dotarł do warfów i zsunął się w wązki dok portowy.

Podróż była skończona.

Ludzie zaczęli wysypywać się ze statku, jak pszczoły z ula. Przez wązki mostek, położony od burt do brzegu, płynęła ich ciżba różnobarwna: pierwsza klasa, potem druga, a podpokładowi, obładowani rzeczami, na ostatku. Gdy

Wawrzon i Marysia, popychani przez tłum, zbliżyli się do otwartej burty, znaleźli przy niej i Kaszubę. Uścisnął silnie rękę Wawrzona i rzekł:

— Bruder! życzę glücku! i tobie, dziewko. Bóg wam dopomóż!

— Panie Boże zapłać! — odrzekli oboje, ale nie było czasu na dłuższe pożegnanie. Ciężba popchnęła ich po pochyłym mostku, i za chwilę znaleźli się w obszernym celniczym budynku.

Celnik, ubrany w szary surdut ze srebrną gwiazdą, poszczypał ich pakunki, potem krzyknął: «*Al right*» i pokazał wyjście. Wyszli i znaleźli się na ulicy.

— Tatulu! a co będziesz robić? — spytała Marysia.

— Musiewa czekać. Niemiec powiedział, że zara tu nadejdzie od rządu komisarz i będzie się o nas pytał.

Stanęli więc pod ścianą, czekając na komisarza, a tymczasem otoczył ich gwar nieznanego, ogromnego miasta. Nie widzieli nigdy nic podobnego. Ulice biegły proste, szerokie, a po ulicach tłumy ludu, jakby w czasie jarmarku; środkiem karety, omnibusy, wozy ładowne. Naokół brzmiała dziwna, nieznana mowa; rozle-

gały się krzyki robotników i przekupniów. Co chwila przesuwali się ludzie zupełnie czarni, o wielkich kędzierzawych głowach. Na ich widok Wawrzon z Marysią żegnali się pobożnie. Dziwne jakieś wydawało im się to miasto, takie gwarne, hałaśliwe, pełne świstu lokomotyw, hurkotu wozów i nawoływań ludzkich. Wszyscy tam biegli tak prędko, jakby gonili kogoś, lub przed kimś uciekali, a jakie przytem mrówie narodu! jakie dziwne twarze: to czarne, to oliwkowe, to czerwone! Właśnie tam, gdzie stali, koło portu panował ruch największy; z jednych okrętów zdejmowano paki i na drugie je wkładano, wozy zajeżdżały co chwila, taczki dudniły po mostkach, rwetes i rozgardyasz panował, jak w tartaku.

Upłynęła w ten sposób jedna godzina i druga; oni, stojąc pod ścianą, czekali na komisarza.

Dziwny widok przedstawiał na amerykańskim brzegu, w Nowym-Jorku, ten chłop polski o długich, siwiejących włosach, w rogatej czapce z barankiem, i ta dziewczyna z Lipiniec, ubrana w granatową przyjaciółkę, z paciorkami na szyi.

Ludzie jednak przechodzili koło nich, nawet nie spojrzawszy. Tam nie dziwią się żadnym twarzom, ani żadnym ubiorom.

Upłynęła znowu godzina; niebo powlokło się chmurami: zaczął padać deszcz pomieszany ze śniegiem: od wody zaciągnął zimny, wilgotny wiatr...

Oni stali, czekając na komisarza.

Chłopska natura była cierpliwą, ale coś im zaczęło się robić ciężko na duszy.

Samotnie im było na okręcie, wśród obcych ludzi i pustoszy wodnej źle i straszno. Modlili się do Boga, by ich przeprowadził jako zbłąkane dzieci przez morskie odmęty. Myśleli, że tylko nogą na ziemi stanąć, a skończy się ich niedola. Teraz oto przyjechali, byli wśród wielkiego miasta, ale w tem mieście, wśród gwaru ludzkiego, poczuli nagle, że im jeszcze samotniej i straszniej, niż było na okręcie.

Komisarz nie nadchodził. Co poczną, jeśli wcale nie nadejdzie? jeśli Niemiec ich zwiódł?

Zadygotały trwogą na tę myśl biedne chłopskie serca. Co poczną? Poprostu — zginą.

Tymczasem wiatr przejmował im odzież, deszcz ich moczył.

— Maryś, czy ci nie zimno? — spytał Wawrzon.

— Zimno, tatulu — odpowiedziała dziewczyna. Jeszcze jedną godzinę wybiły zegary miej-

skie. Mroczyło się na świecie. Ruch w porcie ustawał; na ulicach zapalono latarnie: jedno morze rzęśstych świateł zapłonęło w całym mieście. Robotnicy z portu, śpiewając ochrypłymi głosy: «*Yankee Doodle*», ciągnęli w mniejszych i większych gromadach do miasta. Powoli bulwark opustoszał zupełnie. Budynek celniczy zamknięto.

Oni stali, czekając na komisarza.

Wreszcie zapadła noc, i w porcie zrobiła się cisza. Od czasu do czasu tylko ciemne kominy statków rzucały z sykiem snopy iskier, które gasły w ciemnościach, lub zabelkotała fala, uderzając o bulwark kamienny. Czasem rozległa się piosnka pijanego majtka, wracającego na okręt, światła lamp bladły we mgle. Oni czekali.

Choćby i nie chcieli czekać, dokąd mieli pójść, co począć, gdzie się obrócić, gdzie przytulić umęczone głowy? Zimno przejmowało ich coraz dotkliwiej, poczał dokuczać im głód. Gdyby choć dach im dano nad głowę, bo przemokli do koszuli. Ach! komisarz nie przyszedł i nie przyjdzie, bo takich komisarzów wcale няма. Niemiec był agentem kompanii przewozowej, brał procent od sztuki i o niczem więcej nie wiedział.

Wawrzon uczuł, że nogi chwieją się pod nim, że jakiś olbrzymi ciężar wtłacza go w ziemię, że chyba gniew Boży zawisnął nad nim.

Cierpiał i czekał, jak tylko chłop potrafi. Głos dziewczyny, dygocącej od zimna, obudził go jakby z odurzenia...

— Tatulu!

— Cicho. Niema miłosierdzia nad nami!

— Wróćwa do Lipiniec...

— Idź się utop...

— Boże, Boże! — szeptała cicho Marysia.

Wawrzona zdjął żal.

— Sieroto, niebogo!... niechby Bóg zlitował się choć nad tobą...

Ale już go nie słyszała. Oparłszy głowę o ścianę, przymknęła powieki. Przychodził sen, przerywany, ciężki, gorączkowy, a we śnie jakby obrazek w ramkach: Lipińce i coś niby pio-senka Jaśka koniuchy:

Cóżeś za pani?

Cóżeś za pani?

Cała twoja sukiencyja

Wianek ruciany.

Pierwsze blaski dzienne w porcie nowo-jorskim padły na wodę, na maszty i na budynek celniczy.

W szarem tem świetle odróżnić było można dwie postacie śpiące pod ścianą, o wybladłych, zsiniałych twarzach, przytrząśnięte śniegiem, nieruchome, jakoby martwe. Ale w księdze ich niedoli pierwsze dopiero kartki zostały odwrócone, dalsze opowiemy następnie.

II.

W Nowym-Jorku.

Schodząc w Nowym-Jorku z szerokiej ulicy Broadway ku portowi, w kierunku Chatter-square, i przeszedłszy kilkanaście ulic przyległych, podróżnik trafia na część miasta coraz biedniejszą, bardziej opuszczoną i posepną. Uliczki stają się coraz węższe. Domy, budowane może jeszcze przez osadników holenderskich, porysowały się i pokrzywiły z biegiem czasu; dachy na nich zakłęśły, tynk poopadał z murów, same zaś mury zapadły w ziemię tak, że okna suterren zaledwie górnym brzegiem wystają ponad bruk uliczny. Dziwne krzywizny zastępują tu miejsce ulubionych w Ameryce linii prostych; dachy i ściany, nie wyciągnięte

pod sznur, kupią się i piętrzą jedno nad drugie rozczochraną dachówką.

Z powodu nadbrzeżnego położenia tej części miasta, kałuże w wybojach ulicznych nie wysychają tu prawie nigdy, a małe, szczelnie obudowane place, podobne są do sadzawek, napełnionych gęstą, czarną i stojącą wodą. Okna odrapanych domów ponuro przeglądają się w tej wodzie, której plugawa powierzchnia pstrzy się strzępami papieru, tektury, kawalkami szkła, drzewa i blachy od pak okrętowych; podobnymi strzępkami zarzucone są całe ulice, a raczej cała pokrywająca je warstwa błota. Wszędzie widać tu brudy, nieład i nędzę ludzką.

W tej to dzielnicy znajdują się «boarding-housy» czyli zajazdy, w których za dwa dolary tygodniowo można dostać nocleg i całkowite utrzymanie; tu także szynkownie czyli «bar-roomy», w których wielorybnicy werbują wszelkiego rodzaju drapichróstów na swe statki; pokątne agencye wenezuelskie, ekwadorskie i brazylijskie, celem namawiania do kolonizacyi równika i dostarczania febrze przyzwoitej liczby ofiar; garkuchnie, żywiące swych gości mięsem solonem, zgnilemi ostrygami i rybami, które zapewne sama woda wyrzuca na piasek; tajne

domy gry w kości, pralnie chińskie, rozmaite przytułki dla marynarzy; tu nakoniec jaskinie zbrodni, nędzy, głodu, łez.

A jednak część ta miasta ruchliwa, cała bowiem emigracya, która nie znajduje chwilowego nawet pomieszczenia w koszarach Castle-Garden, a nie chce lub nie może pójść do tak zwanych «workinghousów», czyli domów wyrobniczych, skupia się tu, mieszka, żyje i umiera. Z drugiej strony powiedzieć można, że jeśli emigracya jest szumowinami społeczeństw europejskich, to mieszkańcy owych zaułków są szumowinami emigracyi. Ludzie ci próżnują poczęści dla braku roboty, a poczęści z zamięłowania. Tu też nocami dość często rozlegają się rewolwerowe strzały, wołania o pomoc, ochryple krzyki wściekłości, pijackie śpiewy irlandzkie, lub wycia bijących się z sobą na głowy murzynów. Dniem, co chwila, całe kółka włóczęgów w obdartych kapeluszach, z fajkami w zębach, przypatrują się pięściowym walkom, zakładając się przy tem od centa aż do pięciu za każde wybite oko. Dzieci białe i małe murzynki o kręconych czuprynach, zamiast spędzać czas w szkole, włóczą się po ulicach, klekocąc kawalkami żeber wołowych, lub szukając w błocie resztek warzywa,

pomarańcz i bananów; wychudłe kobiety irlandzkie wyciągają ręce do lepiej ubranego przechodnia, jeśli się tam zabłąka.

W takiej gehennie ludzkiej odnajdujemy dawnych znajomych naszych: Wawrzona Toporka i córkę jego Marysię. Dziedzictwo, którego się spodziewali, było snem i jak sen pierzchło, a rzeczywistość przedstawia się nam oto w kształcie ciasnej izby, zakłęsłej w ziemi, o jednym oknie z powybijanymi szybami. Na ścianach izby ezeranieje plugawa pleśń i smugi wilgoci; przy ścianie stoi zardzewiały i dziurawy piecyk żelazny i stolek o trzech nogach; w kącie trocha słomy jęczmiennej zastępuje łóżko.

To wszystko. Stary Wawrzon, klęcząc przed piecykiem, szuka, czy w wygasłym popiele nie schował się gdzie jaki kartofel, i do tego szukania wraca co chwila nadaremnie już... drugi dzień; Marysia zaś siedzi na słomie i, otoczywszy rękoma kolana, patrzy nieruchomie w podłogę. Dziewczyna chora jest i wynędzniała. Ta sama to niby Marysia, ale jej rumiane niegdyś policzki zapadły głęboko, cera stała się blada i chorobliwa, cała twarz jakby drobniejsza niż dawniej, a oczy wielkie i zapatrzone. Znać na jej twarzy wpływ zgniłego powietrza,

zgryzot i nędznego pożywienia. Żywili się tylko kartofłami, ale od dwóch dni już i kartofli zabrakło. Wcale teraz nie wiedzą, co robić będą i czym żyć dalej. Trzeci miesiąc upływa, jak mieszkają na bruku i siedzą w tej jamie, więc pieniędzy zabrakło. Stary Wawrzon próbował o robotę pytać, ale nie zrozumiano nawet, czego chce; chodził do portu dźwigać pakunki i ładować węgiel na okręty, ale nie miał taczek, a zresztą Irlandczycy podbili mu zaraz oczy; chciał się z siekierą do budowy doków przyczepić — podbito mu znowu oczy. Przytem co to za robotnik, który nie pojmuje, co do niego mówią?! Gdzie wetknął ręce, do czego chciał się wziąć, dokąd się udał, wyśmiewano go, odpychano, potrącano, bito; więc nic nie znalazł, znikąd grosza nie mógł zarobić, ani wyprosić. Włosy zbieleły mu ze zgryzoty, wyczerpała się nadzieja, skończyły się pieniądze, a zaczynał się głód.

W kraju między swoimi, gdyby i stracił wszystko, gdyby znękała go choroba, gdyby dzieci wyгнаły go z chałupy, to... kosztur-by mu tylko wziąć do ręki, stanąć pod krzyżem na rozdrożu, albo przy drzwiach jakiego kościoła i śpiewać: «Boże łaskawy, przyjmij płacz krwa-

wy.» Panby przejeżdżał, dałby dziesiątkę; pani z powozu dzieckoby wysłała z pieniądzem w różanej rączce i z wielkimi wpatrzonemi w dziada oczyma; chłopby pół bochenka dał, baba szperkę, i możnaby żyć, choćby jak ptak, który ani sieje, ani orze. Przytem jakby tak pod krzyżem stał, miałby nad sobą jego ramiona, w górze niebo, a naokoło pola, i w onej ciszy wiejskiej Pan Bóg usłyszałby jego śpiewanie. A tu w tem mieście huczało coś tak strasznie, jakby w jakiejś wielkiej maszynie, tak każdy rwał się naprzód, tak patrzył tylko przed siebie, że cudzej niedoli nikt nie dojrzał. Tu głowę zawrót poprostu brał, ręce opadały, oczy nie mogły pomieścić wszystkiego, co w nie lazło, a myśl jedna drugiej dogonić. Tu wszystko było jakieś dziwne, obce, odtrącające i takie rozpędzone, że każdy, co się nie umiał w tym wirze kręcić, musiał wylecieć z koliska i rozbić się siłą pędu, jako gliniany garnek.

Hej! co za różnica! Oto w spokojnych Lipińcach Wawrzon był gospodarzem i ławnikiem, kolonię miał, szacunek ludzki, pewną łyżkę strawy każdego dnia; w niedzielę przed ołtarz ze świecą wychodził; a tu był ostatni między

wszystkimi, był jak pies przybłęda na cudzem podwórku, nieśmiały, drżący, skulony i zgłodniały. W początkowych dniach niedoli często wspomnienia mówiły: «Lepiej ci było w Lipińcach.» Sumienie krzyczało: «Wawrzon, czemuś opuścił Lipińce?» Czemu? bo go Bóg opuścił. Niósłby chłop swój krzyż, cierpiałby, gdyby przed nim był gdzieś koniec onej drogi krzyżowej; wiedział jednak dobrze, że każdy dzień będzie coraz sroższym dopustem, i każdego ranka słońce coraz większą nędzę jego i dziewczyniną oświeci. Więc co? Ma-li ukręcić powróż, zmówić pacierz i powiesić się? Chłop nie mruży oczu przed śmiercią, ale co się stanie z dziewczyną? Gdy o tem wszystkiem myślał, to czuł, że go nie tylko Bóg opuścił, ale i rozum opuszcza. Nie było żadnego światła w tej ciemności, którą przed sobą widział, a największego bólu nawet nazwać nie umiał.

Tym największym była tęsknota za Lipińcami. Dręczyła go dniem i nocą, a dręczyła tem straszniej, że nie wiedział, co to jest, czego mu trzeba, do czego się dusza w nim chłopska rwie i wije z męki: a jemu potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup słomą krytych, i panów, i chłopów, i księży, i tego wszystkiego, nad czem

się szmat rodzinnego nieba zwiesza, a do czego jak serce przywrze, to się nie oderwie, a oderwie się, to się krwawi. Chłop czuł, że go coś jak w ziemię wgniata. Chwilami radby był się porwać za włosy i głową tłuc o mur, albo rzucić się na ziemię, albo wyć jak pies na łańcuchu, albo wołać niby w obłąkaniu — kogo? — sam nie wiedział. Oto już gnie się pod tem nieznanem brzemieniem, już opada, a tu miasto obce huczy i huczy; on jęczy i wzywa Jezusa, a tu krzyża nigdzie niema, nikt nie odpowiada, tylko miasto huczy i huczy, a na tapczanie siedzi dziewczyna z oczyma wpatrzonemi w ziemię — zgłodniała, i cierpi cicho. Dziwna rzecz! Siedzieli z dziewczyną ciągle razem, i często po całych dniach jedno ani słowem nie ozwało się do drugiego. Żyli jakby w urazie wielkiej. Żle i ciężko im było tak żyć, ale o czemże mieli mówić? Ran jątrzących się lepiej nie tykać. Chyba o tem, że niema już ani pieniędzy w kieszeni, ani kartofli w piecu, ani rady w głowie.

Pomocy też nie doznali od nikogo. Polaków żyje w Nowym-Jorku bardzo wielu, ale zamożniejszy nikt nie mieszka w okolicach Chattam-square. W drugim tygodniu po przybyciu poznali wprawdzie dwie rodziny polskie, jedną ze

Szląska, drugą z pod samego Poznania, ale i one już oddawna głodem marły. Szlązakom umarło już dwoje dzieci, trzecie było chore, a jednak od dwóch tygodni już sypiało wraz z rodzicami pod arkadą mostu, wszyscy zaś żywili się tylko tem, co na ulicach znaleźli. Później też wzięto ich do szpitali, i niewiadomo, co się z nimi stało. Drugiej rodzinie równie źle się działo, a nawet gorzej jeszcze, bo ojciec pił. Marysia ratowała kobietę, póki mogła, ale teraz sama potrzebowała poratowania.

Mogli wprowadzić oboje z ojcem udać się do kościoła polskiego do Hoboken. Ksiądzby przynajmniej dał innym o nich znać, lecz alboż wiedzieli, czy jest jaki kościół, lub jaki polski ksiądz? alboż mogli się z kim rozmówić, kogoś zapytać? W ten sposób każdy wydany cent był dla nich jakby stopniem po schodach, prowadzących w otchłań nędzy.

Siedzieli w tej chwili on przy piecyku, ona na słomie. Upłynęła jedna godzina i druga. W izbie robiło się coraz ciemniej, bo choć to było w południe, ale mgła wstawiała z wody, jako zwyczajnie wiosenną porą, mgła ciężka, przejmująca. Mimo że na dworze było już ciepło, oboje drżeli w izbie od chłodu; wreszcie Wa-

wrzon stracił nadzieję, żeby co znalazło się w popiele.

— Maryś — rzekł — nie mogę już wytrzymać, i ty nie wytrzymasz; pójdę nad wodę drzewa nałapać: napalewa choć w piecu, a może znajdzie co zjeść.

Nie odrzekła nic, więc poszedł. Nauczył się już chodzić do portu i wylawiać kawalki desek od pak i skrzyń okrętowych, które woda na brzeg wyrzuca. Tak robią wszyscy, którzy nie mają za co węgla kupić. Często go tam poszturchali przy tym polowie, ale często nie; czasem trafiało się znaleźć i co do zjedzenia, jakie resztki zepsutego warzywa, wyrzucanego ze statków, a przytem, gdy ot! chodził tak we mgle i szukał, czego nie zgubił, to chwilami zapominał o swej niedoli i o tej tęsknocie, która go najbardziej ze wszystkiego trawiła. Przyszedł wreszcie nad wodę, a że to była pora «lunchu», więc nad brzegiem kręciło się tylko kilku małych chłopaków, którzy zaczęli wprawdzie zaraz krzyczeć na niego, rzucać czarnem błotem i muszlami, ale nie mogli go obić. Deszczulek różnych kołysało się sporo na wodzie: jedna fala je przynosiła, druga odnosiła na głębie. Wkrótce nalapał ich dosyć.

Chwiały się także kupki jakiejś zieloności na fali; może było w nich i co do zjedzenia, ale jako lżejsze, nie przyplwały do brzegu, więc ich nie mógł dostać. Chłopaki rzucali na nie sznury i w ten sposób przyciągali je do siebie; on, że sznura nie miał, więc tylko patrzył chciwie, czekał aż chłopcy odejdą, i przeszukiwał resztki jeszcze raz, zjadając, co mu się zdać do zjedzenia wydało. O tem, że dziewczyna nie jadła, także nie myślał.

Ale los miał mu się uśmiechnąć. Wracając do domu, spotkał wielki wóz z kartoflami, który w drodze do portu ugrzązł w wyboju i nie mógł się ruszyć. Wawrzon schwycił zaraz za szprychy i zaczął z woźnicą pchać koła. Ciężko było, aż go w krzyżach zabolalo, ale wreszcie konie szarpnęły, wóz wyskoczył, a że był czubiasto ładowny, wysypało się z niego sporo kartofli i wpadło w błoto. Woźnica ani myślał ich zbierać, podziękował Wawrzonowi za pomoc, krzyknął: *«Get up!»* na konie i pojechał.

Wawrzon rzucił się natychmiast na kartofle, pozbierał je łapczywie drżącemi rękoma, schował w zanadrzu, i zaraz lepsza otucha wstąpiła mu w serce. W głodzie znaleziony kawałek

chleba znalezionem szczęściem się wydaje; więc chłop, wracając do domu, mruczał cicho:

— A no, Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, że wejrzał na niedolę naszą. Drzewo jest, dziewczyna ogień rozpali; «gajdoków» je tyła, że na dwa razy wstrzyma. Pan Bóg jest miłosierny. W izbie zaraz zrobi się rażniej. Dziewczyna też półtora dnia nie jadła, to się uraduje. Pan Bóg je miłosierny!

Tak rozprawiając, dźwignął jedną ręką deski, drugą badał co chwila, czy kartofle nie wypadają mu z zanadrza. Skarb niósł wielki, więc podnosił oczy z wdzięcznością ku niebu i znowu mruczał:

— Myślałem se: ukradnę! a tu bez kradzenia z wozu spadło. Nie jedliśwa, to będziewa jedli. Pan Bóg je miłosierny! Maryśka zara ze słomy wstanie, jak się dowie, że mam gajdoki.

Tymczasem Marysia od czasu jego wyjścia nie ruszała się ze słomy. Bywało, że jak Wawrzon przynosił rano drzewa, to napaliła w piecyku, przyniosła wody, zjadła co było, a potem całemi godzinami wpatrywała się w ogień. Szukała i ona w swoim czasie roboty. Najęto ją nawet do jednego Boardingshousu do pomywania garnków i zamiatania, ale że się nie mogli z nią

rozmówić, że źle spełniała polecenia, nie rozumiejąc ich, więc ją wypędzili we dwa dni. Potem niczego już nie szukała i nic nie znalazła. Po całych dniach siadywała w domu, bojąc się wyjść na ulicę, bo tam ją zaczepiali Irlandczycy i pijani majtkowie. Przez to próżnowanie była jeszcze nieszczęśliwsza. Tęsknota zgryzła ją, jak rdza żelazo. Była nawet nieszczęśliwszą od Wawrzona, gdyż do głodu, do tych wszystkich utrapień, jakie znosiła, do tego przekonania, że niema dla nich rady, ani ratunku, ani jutra, do strasznej tęsknoty za Lipińcami dorzucała jeszcze ciężaru myśl o Jaśku koniusze. Ślubował on jej wprawdzie i mówił: «Gdzie ty się obrócisz, i ja się obrócę» — ale ona jechała wtedy dziedziczką i panią być, a teraz jakże zmieniło się wszystko!

On był parobkiem dworskim, miał i swoją kolonię po ojcach, a ona stała się taką biedną, taką głodną, jak mysz w lipinieckim kościele. Czy przyjedzie? a choćby i przyjechał, to przygarnie-li ją do piersi? powie-li: «chudziątko moje serdeczne?» Czy też: «Idź precz, dziadowa córko!» Jakież to teraz jej wiano? Iachmany. Psy-by na nią i w Lipińcach czekały, a jednak tak tam coś ciągnie, że ot! dusza radaby

wylecieć z niej i lecieć jaskółką chybką nad wodami, i choćby umrzeć, byle tam. Tam on, Jaśko! pamiętny, czy nie pamiętny, ale umiłowany bardzo; tylko przy nim byłby spokój, i radość, i wesele, ze wszystkich ludzi przy nim jednym w świecie.

Gdy ogień w piecyku był i głód nie tak, jak dziś, dokuczał, to płomienie, sycząc, strzelając iskrami, podskakując, migocąc, mówiły dziewczynie o Lipińcach i przypominały, jako dawniej z innymi dziewczynami siadywała w czworakach przy kądzieli. Jaśko, wyglądając z alkierza, wołał: «Maryś! pójdziewa do księdza, boś mi miła!» Ona mu zaś odpowiadała: «Cichaj, zboreźniku!» I tak jej było dobrze, tak wesoło w duszy, jak i wówczas, gdy on ją do tańca z kąta na środek izby przemocą ciągnął, a ona, zasłoniwszy oczy rękoma, szeptała: «Idźże precz, bo się wstydam!» Gdy jej to czasem przypominały płomienie, to łzy zalewały jej twarz; ale teraz jak ognia w piecyku, tak i łez w oczach nie było, bo ile łez miała, tyle wyplakała. Czasem jej się też zdało, że spływają do piersi i tam ją duszą. Czula zmęczenie wielkie i wyczerpanie, brakło jej siły nawet do rozmyślań; ale zresztą cierpiała pokornie, patrząc

tylko przed siebie wielkimi oczyma, jak ptak, którego męczą.

W ten sposób spoglądała i teraz, siedząc na słomie. Tymczasem ruszył ktoś drzwiami od izby. Marysia, w mniemaniu, że to ojciec, nie podniosła głowy, dopiero obcy głos ozwał się:

— *Look here!*

Był to właściciel rudery, w której mieszkali, stary mulat o twarzy posępnej, brudny, obdarty, z policzkami wypchanymi tytuniem.

Ujrawszy go, dziewczyna złękła się bardzo. Powinni byli zapłacić dolara na następny tydzień, a nie mieli już ani centa. Mogła tylko pokorą nadrobić, więc zbliżywszy się ku niemu, podjęła go cicho pod nogi i pocałowała w rękę.

— Przychodzę po dolara! — rzekł.

Zrozumiała wyraz «dolar» i, potrząsając głową, mieszając wyrazy, a zarazem patrząc błagalnie, starała się dać do zrozumienia, że już wydali wszystko, że drugi dzień nic nie jedzą, że są głodni i żeby zmiłował się nad nimi.

— Bóg wielmożnemu panu zapłaci — dodała po polsku, nie wiedząc już co mówić i robić.

Wielmożny pan nie zrozumiał wprawdzie, że jest wielmożnym, ale domyślił się, że dolara nie dostanie; domyślił się nawet tak dobrze, że

pozbiierawszy jedną ręką węzelki z ich rzeczami, drugą wziął dziewczynę za ramię, popchnął lekko w górę na schody, wyprowadził na ulicę, i rzuciwszy jej pod nogi rzeczy, potem z równą flegmą uchylił drzwi przyległego szynku i zawołał:

— Hej, Paddy, jest izba dla ciebie.

— *All right* — odpowiedział jakiś głos ze środka: — przyjdę na noc.

Mulat zniknął następnie w ciemnej sieni, a dziewczyna została sama na ulicy. Ułożyła węzelki we framudze domu, by się nie walały w bocie, i stanąwszy przy nich, czekała, pokorna jak zawsze i cicha.

Pijani Irlandczycy, którzy przechodzili ulicą, nie zaczepiali jej tym razem. W izbie było ciemno, ale na ulicy widno bardzo, i przy tem świetle twarz dziewczyny wydawała się tak wynędzniałą, jakby po wielkiej jakiej chorobie. Tylko jasne lniane włosy pozostały jak dawniej, wargi zato miała zsiniałe, oczy wpadłe i podkute; kości wystawały jej z policzków. Wyglądała jak kwiat, który więdnie, albo jak dziewczyna, która ma umrzeć.

Przechodzący spoglądali na nią z pewnym rodzajem politowania. Stara murzynka zapy-

tała ją o coś, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, poszła dalej urażona.

Tymczasem Wawrzon zdążył do domu z tem dobrym uczuciem, jakie w bardzo biednych ludziach budzi jawny dowód miłosierdzia Bożego. Miał oto kartofle; myślał, jak będą jedli, jak jutro znów będzie chodził koło wozów, a o pojutrze nie myślał w tej chwili, bo był zbyt głodny. Ujrzawszy zdaleka dziewczynę stojącą na bruku przed domem, zdziwił się mocno i przyspieszył jeszcze kroku.

— A ty tu czego stoisz?

— Gospodarz wygnał nas, tatulu!

— Wygnał?!

Drzewo chłopu wypadło z rąk. Tego już było nadto. Wygnać ich w tej chwili, gdy było drzewo i kartofle! Co teraz zrobić? gdzie je upieką? czem się pożywią? dokąd pójdą? Za drzewem grzmotnął Wawrzon i czapkę w błoto. «Jezu! Jezu!» okręcił się naokoło, otworzył usta, spojrzał błędnie na dziewczynę i powtórzył jeszcze raz:

— Wygnał?...

Potem niby chciał gdzieś iść, ale zawrócił zaraz, a głos jego stał się głuchy, chrapliwy i groźny, gdy rzekł znowu:

— Czemuś go nie prosiła, ciemiego?

Ona westchnęła.

— Prosiłam.

— Pod nogi go podjęłaś?

— Podjęłam.

Wawrzon znowu okręcił się na miejscu, jak robak, którego ktoś przekłóje. Zrobiło mu się w oczach ciemno zupełnie.

— Bogdajeś zmarniała! — krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego boleśnie.

— Tatulu! cóżem ja winna?

— Stój-no tu, ani się rusz. Pójdę ja go prosić, żeby choć gajdoki dał upiec.

Poszedł. Po chwili w sieni dał się słyszeć hałas, tupotanie nóg, podniesione głosy, a potem na ulicę wyleciał Wawrzon, pchnięty widocznie silną ręką.

Chwilę stał, potem rzekł do dziewczyny krótko:

— Pójdź.

Schyliła się po węzełki, by je zabrać. Były dość ciężkie, jak na jej wyczerpane siły, ale on jej nie pomógł, jakby zapomniał, jakby nie widział, że dziewczyna zaledwie je udźwignąć może.

Poszli. Dwie tak nędzne postacie, starca

i dziewczyny, zwracałyby uwagę przechodniów, gdyby ci przechodnie mniej byli przyzwyczajeni do widoków nędzy. Dokąd mogli iść? W jaką jeszcze ciemność, w jaką jeszcze niedolę, w jaką jeszcze mękę?

Oddech dziewczyny stawał się coraz trudniejszy, cięższy; zachwiała się na nogach raz i drugi, wreszcie rzekła z prośbą w głosie:

— Tatulu! weźta szmaty, bo już nie mogę.

On jakby się zbudził ze snu.

— To je rzuć!

— Dyc się przydadzą.

— Nie przydadzą się.

Nagle ujrawszy, że dziewczyna się waha, krzyknął ze wściekłością:

— Rzuć, bo cię zabiję!

Tym razem usłuchała przestraszona, i poszli dalej. Chłop kilka razy powtórzył jeszcze:

— «Kiej tak, to niech tak będzie!» — potem umilkł, ale coś niedobrego patrzyło mu z oczu. Przez coraz błotnistsze uliczki zbliżali się ku krańcowi portu, wydostali się na wielkie pomosty, oparte na palach; przeszli około budynku z napisem «*Sailors's asilum*» i zeszli nad samą wodę. Budowano w tem miejscu nowy dok. Wysokie rusztowania do zapuszczania palów wy-

suwały się daleko nad wodę, a między deskami i belkami kręcili się ludzie, zajęci przy budowie. Marysia, doszedłszy do kupy belek, siadła na niej, bo nie mogła iść dalej; Wawrzon w milczeniu koło niej.

Godzina już była czwarta po południu. Cały port wrzał życiem i ruchem. Mgła też opadła, a pogodne promienie słońca obrzucały światłem i miłosiernem ciepłem dwoje nędzarzy. Z wody szło tchnienie wiosny na ląd, rzeźwe, pełne życia, wesole. Naokoło tyle było błękitu i światła, że aż oczy mrużyły się pod ich nadmiarem. Ton morska w dali zlewała się wdzięcznie z niebem. W tych błękitach bliżej środka portu widać było sterczące spokojnie maszty, kominy i chorągiewki, falujące lekko od powiewu. Na widnokręgu okręty płynące do portu zdawały się iść jakby w górę, lub jakby z pod wody wysuwać. Porozpinane i wydęte ich żagle w kształcie chmurek, całe w promieniach, lśniły oślepiającą białością na lazurze wodnym. Inne statki odchodziły na ocean, pieniąc za sobą wodę. Szły w stronę, gdzie leżały Lipińce, więc dla nich dwojga utracone szczęście, więc dola lepsza, więc uspokojenie. Myślała też sobie dziewczyna, czem mogli tak bardzo zgrzeszyć, co przeciw

Panu Bogu uczynić, że On, taki miłościw, od nich samych tylko odwrócił oblicze swoje i zapomniał o nich wśród obcych ludzi i rzucił ich na ten brzeg daleki. Toć w Jego ręku było wrócić im szczęście. Tyle przecie statków odpływa w tamtą stronę, a odpływa bez nich. Zmęczona, biedna myśl Marysi jeszcze raz poleciała w stronę Lipiniec i Jaśka koniuchy. Czy tam myśli o niej? czy o niej pamięta? Ona pamięta, bo w szczęściu się tylko zapomina, w niedoli zasie, w osamotnieniu myśl tak obwija się koło ukochanych, jak chmiel koło topoli. Ale on? Może pogardził dawnem ukochaniem i swaty już posłał do innej chałupy. Przecieby mu nawet wstyd było myśleć o takiej nędzarce, która prócz wianka, prócz rucianego, nic nie ma na świecie, i po którą, jeśli kto przyśle swaty, to chyba śmierć.

Ponieważ była chora, więc głód nie dokuczał jej bardzo, ale z męki i osłabienia sen ją ogarniał, powieki zamykały się na oczach, a wybladła twarz chyliła się na piersi. Chwilami budziła się i otwierała oczy, potem przymykała je znowu. Śniło się jej, że błądząc po jakichś rozpadlinach i przepaściach, wpadła, jak owa Kasia z chłopskiej piosenki, w «Dunajec głę-

boki», i zaraz usłyszała wyraźnie jakby dalsze śpiewanie:

Zobaczył to Jaśko na wysokiej górze,
Spuścił się do Maryś po jedwabnym sznurze;
Ale sznur był krótki, z łokieć go nie staje:
Marysia nieboga warkocza dodaje.

Tu nagle zbudziła się, bo zdało się jej, że warkocza już niema i że leci w przepaść. Sen pierzchnął. Nie Jaśko siedział przy niej, ale Wawrzon, i nie «Dunajec» było widać, ale port nowo-jorski, warfy, rusztowania, maszty i komin-y. Znowu jakieś okręty wypływały na pełnię i z nich to właśnie dochodziło śpiewanie. Cichy, ciepły, pogodny wieczór wiosenny zaczął czerwienić się na wodzie i na niebie. Toń stała się zwierciadlaną, każdy okręt, każdy pal tak odbijał, jakby drugi był pod spodem, i ślicznie było naokoło. Jakaś szczęśliwość i ukojenie wielkie rozlane były w powietrzu; zdawało się, że cały świat się raduje, tylko ich dwoje było nieszczęsnych i zapomnianych; robotnicy zaczęli wracać do domów, tylko ich dwoje nie miało domu.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona. Chłop siedział ponury i chmurny, ale coś jakby straszliwe po-

stanowienie zaczęło się malować na jego twarzy. Ktoby na nią spojrział, tenby się przestraszył, bo twarz ta miała wyraz zwierzęcy i ptasi z głodu, a zarazem tak rozpaczliwie spokojny, jakby u człowieka umarłego. Przez cały czas nie odezwał się do dziewczyny ani słowem; dopiero gdy nastała noc, gdy port opustoszał zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

— Pójdźwa, Maryś!

— Dokąd pójdziewa? — pytała sennie.

— Na one pomosty nad wodę. Położewa się na deskach i będziewa spali.

Poszli. W ciemności zupełnie musieli pelzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i belek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na którego końcu znajdowała się platforma z desek, za nią zaś taran do zabijania pali. Na tej platformie, pokrytej daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie, ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jej kraniec, Wawrzon rzekł:

— Tu będziewa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się na deski, i mimo że zaraz opadły ich roje moskitów, usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

— Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tem wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

— Co, tatulu?

Wśród ciszy i ciemności nocnej, głos starego chłopa ozwał się głucho, strasznie, ale spokojnie:

— Dziewczyno! Już tobie głodem dłużej nie mrzeć. Nie pójdziesz-że ty pod ludzkie progi o chleb prosić; nie będziesz-że ty na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, dola skapiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła.

W ciemności nie mogła go dojrzeć, choć oczy jej szeroko rozwarły się z przerażenia.

— Utopię ja cię, niebogo, i sam się utopię — mówił dalej. — Niema poratowania dla nas, niema miłosierdzia nad nami. Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej, niż dziś...

Nie! Ona nie chciała umierać. Ona miała ośmnaście lat i to przywiązanie do życia, tę bojaźń śmierci, jaką daje młodość. Cała w niej dusza wzdrygnęła się do głębin na myśl, że jutro będzie topielcem, że pójdzie w jakąś ciemność, że będzie leżała w wodzie, wśród ryb

i gadów, na dnie szlamistem. Za nic w świecie! Nieopisany wstręt i strach ogarnęły ją w tej chwili, a rodzony ojciec, mówiący tak w ciemności, wydał się jej jakimś złym duchem.

Przez ten czas obie jego ręce spoczywały na jej wychudłych ramionach, a głos mówił ciągle z tym strasznym spokojem:

— Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko, i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

— Nie chcę, tatulu, nie chcę! — wołała Marysia. — Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty! zlitujta się nade mną. Co ja wam uczyniła? Dyć ja nie narzekała na moją niedolę, dyć ja z wami cierpiała, głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się jak kleszcze: ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwiej.

— Zlitujta się! miłosierdzia! miłosierdzia! jać dziecko wasze, jam biedna, chora: mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żal! Ja się boję!

Tak jęcząc, czepiała się jego sukmany i usta przyciskała błagalnie do tych rąk, które ją spychały w przepaść. Ale jego to wszystko zdawało się tylko podniecać. Spokój jego przeszedł

w obląd: zaczął rzeźić i chrapać. Chwilami nastawała między nimi cisza, i ktoby stał nad brzegiem, słyszałby tylko głośne oddechy, i szamotanie się, i trzask desek. Noc była głęboka, ciemna, a pomoc nie mogła znikąd nadejść, bo to był sam koniec portu, na którym w dzień nawet, prócz robotników, nie bywało nikogo.

— Zmiłowania! zmiłowania! — wołała przerażliwie Marysia.

W tej chwili jedną ręką pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa: pies tylko jakiś wył w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Nakoniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk o ratunek stawał się coraz cichszy, ręce wreszcie urwały szmat sukmany, i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z platformy, po drodze jednak uczepiła się dylów i zawisała nad wodą.

Chłop pochylił się i, straszno powiedzieć, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa, przelatywał jej przez głowę, nakształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żórawia, wyjazd,

okręt, burza, litania, nędza nowo-jorska; nakoniec co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tego tłumu dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! to Jaśko tam stoi, Jaśko wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska uśmiechnięta w jasności wielkiej. Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: «Panienka Najświętsza! Jaśku! Jaśku!» Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: «Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!»

Chwila jeszcze, te same ręce, które spychały ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona: ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia, spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu; ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem, i że szlochanie głucho, żalosne, wstrząsa nim i rozrywa mu pierś.

— Maryś, — ozwał się wreszcie przerywanym przez łkanie głosem — odpuść mi, dziecko...

Dziewczyna poszukała pociemku jego rąk i, przytuliwszy do nich swoje biedne usta, wyszeptała:

— Tatulu! niech wam tak Pan Jezus odpuszcí, jako ja odpuszczam...

Z bladej jasności, która od niejakiego czasu świeciła na horyzoncie, wynurzył się księżyc wielki, pogodny, pełny, i znowu stało się coś dziwnego. Oto Marysia ujrzała, jak od księżyca odrywają się całe roje małych aniołków, jakby pszczołek złotych, i spływają po promieniach aż do niej, szeleszcząc skrzydełkami, kręcąc się, wijąc i śpiewając dziecinnymi głosami:

— Dziewczyno umęczona, spokój tobie! Ptaszyno licha, spokój tobie! Kwiatku polny, cierpliwy i cichy, spokój tobie!

Tak śpiewając, potrząsały na nią kielichy lilii białych i małe srebrne dzwoneczki, które dzwoniły:

— Sen tobie, dziewczyno! sen tobie! sen! sen! sen!

I zrobiło się jej tak dobrze, jasno, spokojnie, że usnęła naprawdę.

Noc mijała i jęła blednąć. Dniało. Switanie pobielilo wodę. Maszty i kominy zaczęły się wychylać z cienia i jakoby przybliżać. Wawrzon klęczał już schylony nad Marysią.

Myślał, że umarła. Wysmukła jej postać leżała bez ruchu; oczy miała zamknięte, twarz

bladą jak płótno, z sinawym cieniem, spokojną i zmartwiałą. Napróżno stary wstrząsał ją za ramię: ani drgnęła, ani nie otworzyła oczu. Wawrzonowi zdawało się, że i on chyba umiera, ale przyłożywszy jej rękę do ust, poczuł, że oddycha. Serce w niej biło, choć słabo; zrozumiał jednak, że może umrzeć lada chwila. Jeśli z tumanu porannego wynurzy się dzień pogodny, jeśli słońce ogrzeje ją, to się obudzi; inaczej nie.

Mewy zaczęły krążyć nad nią, jakby o nią stroskane; niektóre siadały na pobliskich słupach. Mgła ranna rozstępowała się zwolna pod technieniem zachodniego wiatru: powiew ten był wiosenny, ciepły, pełen słodyczy.

Potem weszło słońce. Promienie jego padły naprzód na szczyt rusztowania, potem, schodząc coraz niżej, rzuciły swoje złote światło na marmurową twarz Marysi. Zdawały się ją całować, pieścić i jakby utulać. W tych blaskach i w wianku jasnych włosów, porozwiazrywanych od nocnej walki i wilgoci, była to twarz poprostu anielska; bo też Marysia była już prawie aniołem przez swoją mękę i niedolę.

Śliczny, różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę, mewy, kręcąc się wiankiem, krzy-

czwały, jakby ją chciały rozbudzić. Wawrzon, zdjąwszy z siebie sukmanę, przykrył nią jej nogi, i nadzieja zaczęła mu wstępować w serce.

Jakoż siność ustępowała zwolna z jej twarzy, policzki poróżwiały lekko, uśmiechnęła się raz i drugi, nakoniec otworzyła powieki.

Wówczas ten stary chłop klęknął na pomoście, podniósł oczy do nieba, i łązy dwoma strumieniami popłynęły mu po pomarszczonych policzkach.

Uczuł raz na zawsze, że to dziecko — to teraz żrenica oczu jego i dusza jego duszy, i jakby świętość nad wszystko ukochana.

Ona nietylko się rozbudziła, ale rozbudziła zdrowsza i rzeświejsza, niż wczoraj. Czyste powietrze portu zdrowsze dla niej było od zatrutej atmosfery izby. Wracając naprawdę do życia, bo, siadłszy na deskach, zawołała zaraz:

— Tatulu, jeść mi się chce bardzo.

— Pójdź, córuchno, nad wodę, może się tam co znajdzie — rzekł stary.

Wstała bez wielkiego wysilenia i poszła. Ale widocznie jakiś to dzień miał być wyjątkowy w dniach ich niedoli, bo ledwo uszli kilka kroków, ujrzeni tuż koło siebie na rusztowaniu wsuniętą między dwie belki chustkę, a w niej za-

winięty chleb, gotowaną kukurydzę i solone mięso. Tłumaczyło się to poprostu tem, że któryś z robotników, pracujący przy warfie, schował sobie wczoraj na dziś część swego śniadania. Robotnicy tamtejsi mają ten zwyczaj; ale Wawrzon z Marysią tłumaczyli to sobie jeszcze prościej. Kto położył tę żywność? W ich mniemaniu Ten, co o każdym kwiatku, ptaku, koniku polnym i mrówce pamięta.

Bóg!

Zmówili pacierz, zjedli, choć niewiele tego było, i poszli nad wodą aż do głównych doków. Wstąpiły w nich nowe siły. Doszedłszy do budynku celniczego, skręcili pod górę na Water-street, ku Brodway. Z odpoczynkami zeszło im na tem parę godzin, bo droga była daleka. Chwilami siadali na deskach, lub na próżnych pakach okrętowych. Szli, sami nie wiedząc dlaczego, ale coś się tak Marysi widziało, żeby koniecznie iść do miasta. Po drodze spotykali mnóstwo ładownych wozów, ciągnących do portu. Na Water-street ruch już panował niemały. Z otwierających się bram wychodzili ludzie i szli pośpiesznie do codziennych zatrudnień. W jednej takiej bramie ukazał się wysoki, siwy i wąsaty jegomość z młodym chłopakiem. Wyszedszy,

spojrzał na nich i na ich ubrania, ruszył wąsami; zdziwienie odbiło się na jego twarzy, poczem zaczął się przypatrywać jeszcze bystrzej i uśmiechać się.

Twarz ludzka uśmiechająca się do nich przyjaźnie w Nowym-Jorku, to był dziw, czary jakieś, na których widok zdumieli się oboje.

Tymczasem siwy jegomość zbliżył się i spytał najczystszą polszczyzną:

— A wyście skąd, ludzie?

Jakby piorun w nich uderzył. Chłop, zamiast odpowiedzieć, zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach, nie wierząc ani swoim uszom, ani swoim oczom. Marysia, ochłonawszy pierwsza, przypadła zaraz do nóg starego pana, objęła je rękoma i poczęła wołać:

— Z pod Poznania, jaśnie dziedzicu! z pod Poznania.

— Co wy tu robicie?

— W nędzy, w głodzie i w niedoli srogiej żyjewa, drogi panie.

Tu Marysi głosu zabrakło, a Wawrzon rzucił się plackiem do nóg jegomości, potem począł całować połą jego surduta i, trzymając ją, myślał, że chyba za kawał nieba złapał.

Toć to pan i swój pan. On z głodu umrzeć nie da, on poratuje, on zmarnieć nie da.

Młody chłopiec, który był z siwym panem, wytrzeszczał oczy, ludzie poczęli się gromadzić, otwierać usta i patrzeć, jak człowiek przed człowiekiem klęczy i po nogach go całuje. W Ameryce to niebywała rzecz! Ale stary pan począł się na gapiów gniewać.

— To nie wasz «business» — mówił do nich po angielsku: — idźcie do swego businessu!

Poczem do Wawrzona i Marysi:

— Nie będziemy na ulicy stali: chodźcie za mną.

Wprowadził ich do najbliższego bar-roomu; tam wszedłszy do osobnego pokoju, zamknął się z nimi i z chłopakiem. Oni znowu zaczęli mu do nóg padać, od czego bronił się i mruczał gniewliwie:

— Skończcie ten business! My przecie z jednych stron, my dzieci jednej... matki...

Tu widocznie dym z cygara, które palił, zaczął gryźć go w oczy, bo przetarł je kulakami i spytał:

— Głodniście?

— Bez dwa dni niceśmy nie jedli, jeno co dziś znaleźliśwa nad wodą.

— Wiliam! — rzekł do chłopca — każ im dać jeść.

Następnie pytał dalej:

— Gdzie mieszkacie?

— Nigdzie, jaśnie panie.

— Gdzieście spali?

— Nad wodą.

— Wygnali was z mieszkania?

— Wygnali.

— Nie macie rzeczy prócz tych, co na sobie?

— Nie mamy.

— Nie macie pieniędzy?

— Nie mamy.

— Co będziecie robili?

— Nie wiemy.

Stary pan, pytając szybko i jakby gniewliwie, zwrócił się nagle do Marysi:

— Ile masz lat, dziewczyno?

— Ośmnaście skończę na Matkę Boską Zielną.

— Nacierpiałś się, co?

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliła mu się pokornie do nóg.

Starego pana dym znowu zaczął widocznie gryźć w oczy.

W tej samej chwili przynieśli piwo i ciepłe mięso. Stary pan kazał im się zaraz wziąć do

jedzenia, a gdy odrzekli, że nie śmieją tego przy nim zrobić, powiedział im, że są głupi. Ale mimo tej jego gniewliwości, wydawał im się aniołem z nieba.

Gdy jedli, radowało go to widocznie bardzo. Potem kazał sobie opowiadać, jak się tu dostali i przez co przeszli; więc Wawrzon opowiedział mu wszystko i nie zataił nic, jako księdzu na spowiedzi. On gniewał się, wymyślał mu, a gdy doszło do tego, jak Wawrzon chciał topić Marysię, krzyknął:

— Jabym cię ze skóry odarł!

Potem do Marysi:

— Pójdź tu, dziewczyno!

Gdy się zbliżyła, wziął w obie ręce jej głowę i pocałował ją w czoło.

Potem myślał przez chwilę i rzekł:

— Biedę przeszłście. Ale to jest dobry kraj, tylko trzeba sobie umieć radzić.

Wawrzon wytrzeszczył na niego oczy: ten zacny i mądry pan nazywał Amerykę dobrym krajem!

— Tak jest, ciemiego — rzekł, spostrzegłszy zadziwienie Wawrzona: — dobry kraj! Gdym tu przybył, nie miałem nic, a teraz mam kawałek chleba. Ale wam, chłopom, pilnować roli, nie

po świecie się włóczyć. Jak wy wyjedziecie, któż tam zostanie? Wyście tu na nic, a przyjechać tu łatwo, wrócić trudno.

Milczał czas jakiś, potem dodał, jakby do siebie:

— Czterdzieści kilka lat tu siedzę, to się i o kraju zapomniało. Ale tęsknota czasem bierze, co? Wiliam tam musi jechać, niech pozna, gdzie jego ojcowie żyli... Ten mój syn — rzekł, wskazując chłopca. — Wiliam, przywieziesz mi z domu garść ziemi pod głowę do trumny.

— *Yes, father!* — odpowiedział po angielsku wyrostek.

— I na piersi! Wiliam! i na piersi!

— *Yes, father!*

Starego pana dym tak okropnie zaczął gryźć w oczy, że źrenice zaszły mu jakby szkłem.

Zaraz też począł się gniewać:

— Rozumie chłystek po polsku, ale woli mówić po angielsku. Tak tu musi być. Co tu padnie, to dla dawnych progów stracone. Wiliam! idź, powiedz siostrze, że będziemy mieli gości na obiad i na noc.

Chłopiec poskoczył żywo. Stary pan zamyslił się i milczał długo; potem zaczął mówić, jakby do siebie:

— Choćby ich wysłać z powrotem, koszt wielki, a przytem do czego wróćą? Sprzedali, co mieli: pójdą na dziady. W służbie z dziewczyną Bóg wie, coby się stało. Kiedy tu jesteście, trzeba jeszcze pracy popróbować. Wysłać ich do jakiej osady, dziewczyna pójdzie za mąż na poczekaniu. Dorobią się we dwoje, zechcą wrócić, to i starego zabiorą.

Następnie rzekł wprost już do Wawrzona:

— Słyszałeś ty o tutejszych naszych osadach?

— Nie słyszałem, wielmożny panie.

— Ludzie! jak wy się tu puszczacie? Na miły Bóg! Nie macieź ginąć potem! W Chicago jest takich jak ty ze dwadzieścia tysięcy, w Milwaukee tyleż, w Detroit sporo, w Buffalo sporo. Pracują po fabrykach, ale chłopu najlepiej na rolę. Do Radomia wysłaćby was, do Illinois, hm! tam już o grunt trudno. Zakładają jakiś nowy Poznań w stepach w Nebrasce, ale to daleko. Kolej drogo kosztuje. Panna Marya w Texasie także daleko. Do Borowiny byłoby najlepiej, tembardziej, że mogę dać wam bilety darmo, a co dam w rękę, to schowacie na gospodarstwo.

Zamyślił się jeszcze głębiej.

— Słuchaj, stary, — rzekł nagle. — Zakładają teraz nową osadę Borowina w Arkansas. Jest to piękny kraj i ciepły, a ziemia prawie pusta. Tam gruntu z lasem weźmiesz 160 morgów od rządu darmo, a od kolei za małą opłatą — rozumiesz? Na gospodarstwo ci dam, i bilety na kolej, bo mogę. Pojedziecie do miasta Little-Rock, potem trzeba będzie wozem. Tam znajdziecie i innych, którzy z wami pojedą. Zresztą dam wam listy. Chcę wam pomódz, bom wasz brat; ale twojej dziewczyny sto razy więcej żal mi, niż ciebie. Rozumiesz! Bogu dziękujcie, żeście mnie spotkali.

Tu głos jego stał się zupełnie miękki.

— Słuchaj, dziecko — rzekł do Marysi: — oto tu masz moją kartkę; schowaj ją święcie. Jak cię kiedy bieda przycisnie, jak zostaniesz samotna na świecie i bez opieki, to mnie poszukaj. Tyś biedne dziecko i dobre. Gdybym umarł, Wiliam się tobą zajmie. Kartki nie zgub! Chodźcie teraz do mnie.

Po drodze kupił im bielizny i ubrania, a wreszcie zaprowadził do siebie i ugościł. Był to cały dom dobrych ludzi, bo i Wiliam i jego siostra Jenny zajęli się obojgiem jakby krewnymi. Pan Wiliam obchodził się nawet z Marysią, jakby

z «lady» jaką, czego wstydziła się okrutnie. Wieczorem do panny Jenny przyszło kilka młodych panienek z grzywkami na czołach, ubranych ślicznie i dobrych. Te wzięły między siebie Marysię, dziwiły się, że taka blada, że taka ładna, że ma tak jasne włosy, że im się do nóg ciągle schyla i po rękach je całuje, z czego się śmiały bardzo. Stary pan chodził między młodymi, potrzasał białą głową, mruczał, czasem się gniewał; mówił to po angielsku, to po polsku, rozmawiał z Marysią i z Wawrzonem o dalekich stronach rodzinnych; przypominał sobie, rozpamiętywał, i od czasu do czasu widocznie dym z cygara gryzł go w oczy, bo je sobie często ukradkiem ocierał.

Gdy się wszyscy rozeszli spać, Marysia nie mogła wstrzymać łez, widząc, że panna Jenny własnymi rękoma przygotowuje jej pościel. Ach! jacyż to dobrzy ludzie byli, ale cóż to dziwnego! Przecie stary pan był także rodem z pod Poznania.

Trzeciego dnia Wawrzon i dziewczyna jechali już do Little-Rock. Chłop czuł sto dolarów w kieszeni i o obiedzie zupełnie zapomniał, a Marysia czuła nad sobą widomą rękę Bożą i wierzyła, że ta ręka nie da jej zginać; że, jak

ją z niedoli wyprowadziła, tak i Jaśka do Ameryki sprowadzi, i nad obojgiem czuwać będzie, i do Lipiniec wrócić im pozwoli.

Tymczasem miasta i fermy wiejskie migaly im przez okna wagonu. Było to zupełnie inaczej, aniżeli w Nowym-Jorku. Były pola i bór na dalekości i domki, przy których rosły drzewa; ruń zbóż wszelakich zieleniła się wielkimi szmatami, zupełnie jak w Polsce. Na ten widok Wawrzonowi rozpierało tak coś piersi, że miał ochotę krzyczeć: «Hej! wy bory i pola zielone!» Na łąkach pasły się trzody krów i owiec; po rubieżach leśnych widać było ludzi z siekierkami. Pociąg leciał dalej i dalej. Powoli okolica stawała się coraz mniej ludna. Fermy znikły, a kraj roztworzył się w szeroki, pusty step. Wiatr na nim chwiał falą traw i migotał kwiatami. Miejscami wiły się, nakształt złocistych wstęg, drogi pokryte żółtem kwieciem, po których niegdyś przeszły wozy. Wysokie burzany, dziewanny i szyszkowate osty kiwały głowami, jakby witając wędrowców. Orły kołysały się na szerokich skrzydłach nad stepem, wpatrując się pilnie w trawę. Pociąg rwał naprzód, jakby chciał dolecieć tam, gdzie te stepowe przestrzenie giną oczom i zlewają się z niebem. Z okien

wagonów widać było całe stadka zajęcy i psów ziemnych. Czasem rogata głowa jelenia mignęła nad trawami. Nigdzie ani wieżyczki kościelnej, ani miasta, ani wsi, ani domu, stacye tylko; ale między stacyami i w bok ani żywego ducha. Wawrzon spoglądał na to wszystko, kręcił głową i nie mógł zrozumieć, że tyle «dobroci», jak nazywał grunta, pustką stoi.

Upłynął dzień i noc. Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnąciami się roślinami, grubemi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęstym, że chyba w niego siekierą jak w ścianę bić. Nieznane ptactwo świergotało w tych zielonych gąszczach. Raz zdało się Wawrzonowi i Marysi, że wśród skrętów i bisiorów ujrzeli jakichś jeźdźców z piórami na głowach i o twarzach tak czerwonych, jak miedź polewana. Widząc te lasy, te puste stopy i puste bory, te wszystkie nieznane cuda i ludzi innych, Wawrzon nie mógł wreszcie wytrzymać i rzekł:

- Maryś!
- Co, tatulu?
- Widzisz?
- Widzę.
- A dziwujesz się?
- Dziwuję się.

Przejechali nakoniec rzekę ze trzy razy szerszą od Warty, o której później dowiedzieli się, że się nazywa Mississippi, i głuchą już nocą przybyli do Little-Rock.

Stąd mieli się wypytywać o drogę do Borowiny.

Porzucamy ich w tej chwili. Drugi okres ich tułactwa za chlebem został ukończony. Trzeci miał się odegrywać w lasach, wśród huku siekier i w ciężkim znoju osadniczego życia. Czy mniej w nim było łez, cierpień i niedoli? — dowiemy się nieza długo.

III.

Życie osadnicze.

Czem była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślono z góry, wychodząc z zasady, że gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz. Poprzednio gazety polskie, a nawet i angielskie, wychodzące w Nowym-Jorku, Chicago, Buffalo, Detroit, Milwaukee, Manitovok, Denver, Calumet, słowem wszędzie, gdzie można usłyszeć mowę polską, głosiły *urbi et orbi* w ogólności, a polskim osadnikom w szcze-

gólności, że ktoby z nich chciał być zdrowym, bogatym, szczęśliwym, jeść tłusto, żyć długo, a po śmierci napewno otrzymać zbawienie, ten niech się zapisuje na działkę w raju ziemskim, czyli w Borowinie. Ogłoszenia mówiły, że Arkansas, w którym ma stanąć Borowina, jest krajem pustym jeszcze, ale najzdrowszym w świecie. Wprawdzie miasteczko Memphis, leżące na samej granicy, z tamtej strony Mississippiego, jest siedliskiem żółtej febry, ale według ogłoszeń, ani żółta, ani żadna inna febra nie potrafiłaby przepłynąć takiej rzeki, jak Mississippi. Na górnym brzegu rzeki Arkansas niema jej dlatego jeszcze, że sąsiedzi Indyanie Choctawowie oskalpowaliby ją bez żadnej litości. Febra drży na widok czerwonej skóry. Skutkiem takiego składu rzeczy, osadnicy w Borowinie mieszkać będą między febrą od wschodu, a czerwonoskórzymi od zachodu, w pasie zupełnie neutralnym, zatem mającym przed sobą taką przyszłość, że za lat tysiąc Borowina będzie niezawodnie liczyła ze dwa miliony mieszkańców, a ziemia, którą się dziś płaci po 1 i pół dolara za akr, pójdzie na place do sprzedania w cenie mniej więcej tysiąca dolarów za kwadratowy łokieć.

Takim obietnicom i widokom trudno się było

oprzeć. Tych, którymby mniej podobało się sąsiedztwo Choctawów, ogłoszenia zapewniały, że ten waleczny szczep ożywiony jest szczególniejszą sympatją właśnie dla Polaków, że więc należy przewidywać stosunki jak najuprzejmiejsze. Zresztą wiadomo, że gdzie przez lasy i stopy przejdzie kolej żelazna i słupy telegraficzne w kształcie krzyżów, tam owe krzyże stają się wkrótce znamionami, stojącemi na mogiłnikach indyjskich; że zaś ziemia pod Borowiną nabyta została od kolei żelaznej, zniknięcie więc Indian było tylko kwestyą czasu.

Ziemia została nabyta istotnie od kolei żelaznej, co zapewniało osadzie związek ze światem, zbyt dla produktów i przyszły rozwój. Ogłoszenia zapomniały wprowadzić dodać, że kolej ta była dopiero projektowaną, i że właśnie sprzedaż sekcji, nadawanych kolejom przez rząd w krajach pustych, miała zapewnić, a raczej dopełnić funduszu potrzebnego na budowę; zapomnienie to było jednak łatwe do wybaczenia przy businessie tak zawilym. Zresztą pociągało tę tylko różnicę dla Borowiny, że osada, zamiast się znajdować na linii drogi, leżała w głuchej pustyni, do której trzeba się było dostawać wśród wielkich trudów wozami.

Z tych zapomnień mogły się zrodzić różne przykrości, przykrości jednak były tylko czasowe i miały ustać wraz z przeprowadzeniem kolei. Zresztą wiadomo jest, że ogłoszeń w tym kraju nie można brać dosłownie, albowiem jak każda roślina, przesadzona na amerykański grunt, wybuja niezawodnie, ale kosztem owoców, tak i reklama w amerykańskich gazetach tak się rozrasta, że ziarnko prawdy trudno czasem z retorycznych plew wyłuskać. Odłożywszy jednak na bok wszystko, co w ogłoszeniach o Borowinie należało uważać za tak zwany «*humbug*», można jeszcze było mniemać, że osada ta nie będzie wcale gorsza od tysiąca innych, których powstawanie z niemniejszą przesadą głoszone.

Warunki wydawały się nawet z wielu względów pomyślnymi, stąd mnóstwo osób, a nawet rodzin polskich, rozproszonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża, zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Szlązacy, Poznańczycy, Galicyanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy z pod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i w Milwaukee i którzy oddawna wzdychali do życia, jakie chłop

z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopconych dymem i sadzą miast wydostać, a jąc się pługą i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu. Ci, którym było za gorąco w Pannie Maryi w Texas, lub za zimno w Minnessocie, lub za wilgotno w Detroit, lub za głodno w Radomiu w Illinois, połączyli się z pierwszymi, i kilkuset ludzi, najwięcej mężczyzn, ale wiele także niewiast i dzieci, wyruszyło do Arkansas. Nazwa «Bloody-Arkansas», to jest «krwawy», nie odstraszała zbyt osadników. Jakkolwiek, prawdę mówiąc, kraj ten obfituje dotychczas w drapieżnych Indyan, w tak zwanych autlawów czyli rozbójników, zbiegłych z pod prawa, w zdziczałych skwaterów, wycinających drzewo wbrew zakazom rządowym na Red-River, i w różnych innych awanturników lub drapichróstów, urwanych z pod szubienicy; jakkolwiek dotąd zachodnia część tego Stanu słynną jest z okrutnych zapasów między czerwono-skórými a białými myśliwcami na bawoły i ze strasznego prawa «lynch» — przecie można dać sobie z tem wszystkiem radę. Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą,

niebardzo komu ustąpi, a temu, coby mu nadto w drogę laził, gotów krzyknąć: «Dyćwa nie ciarachy! nie targajta, bo żgniema, aż będzieta chramać!» Skądinał wiadomo także, że Mazury lubią się trzymać razem i osiadać w ten sposób, by Maciek Maćkowiś mógł w każdej chwili z kłonicą na pomoc pośpieszyć.

Punktem zbornym dla większości było miasto Little-Rock, ale z Little-Rock do Clarksville, najbliższej osady ludzkiej, z którą miała sąsiadować Borowina, trochę dalej niż z Warszawy do Krakowa, a co gorsza, trzeba było jechać krajem pustym, przedzierać się przez lasy i wezbrane wody. Jakoż kilku ludzi, którzy, nie chcąc czekać na całą gromadę, puścili się w pojedynkę, zginęło bez wieści, ale główny tabór doszedł szczęśliwie i obozował oto teraz wśród lasu.

Prawdę powiedziawszy, przybywszy na miejsce, osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na gruntach, przeznaczonych na osadę, pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane (tak zwane *cottonwood*), jasne platany i posępne hickory stały obok siebie jedną masą. Puszcza to była nie na

śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które, przeskakując naksztalt lin i sznurów z drzewa na drzewo, tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiory jakie, kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach; kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał, i w mroku błądzić musiał, i zbłądzić mógł, i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekierę, to na owe dęby, mające po kilkanaście łokci obwodu, i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługa, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru, jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory codzien było słycać huk siekier w tym arkanzaskim lesie, a czasem i pieśni, rozlegające się echem:

Przyszcdł Jasieńko,
Przyszcdł ze dworu:

«Miła Kasieńko,
Pójdźwa do boru,
Do boru, do ciemnego...»

Tabór stał wedle strumienia na dość obszernej polance, której brzegiem miały stanąć w kwadrat chałupy, na środku zaś z czasem kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić, jak w fortecy. Za wozami na pozostałej części polanki chodziły muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż, złożona z młodych zbrojnych parobków. Ludzie sypiali na wozach, lub też za ich obrębem naokoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gęszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkanzaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się wystrzały z karabinów i wołania: «Bywaj bić bestyją!» Ludzie,

którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami, i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, mianowicie antylop, jeleni i bawolów; była to bowiem pora wiosennych wędrówek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami, zakupionymi w Little Rock lub Clarksville, a składającymi się z kukurydzowej mąki i solonego mięsa. Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wieczorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczerzy, zamiast iść spać, puszczała się w taniec. Jakiś grajek przywiózł z sobą skrzypce, na których wygrywał obertasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginął nadto wśród leśnego szumu i pod otwartem niebem, inni pomagali grajkowi, na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski. Życie uchodziło w pracy ciężkiej gwarnie, a przytem bezładnie. Najpierwszą rzeczą było postawić chalupy, jakoż wkrótce na zielonem podścielisku polanki stanęły zręby domów; cała zaś jej powierzchnia pokryła się wiórami, heblowinami, kawałkami kory i tem podobnem śmieciem drzewnem. Czerwone drzewo, czyli tak zwane

«redwood», łatwo dawało się obrabiać, ale często trzeba było po nie chodzić daleko. Niektórzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien, pozdzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nie-żonaci, którym mniej pilno było do dachu nad głową, a więcej przykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyta, i gdzie dęby i hickory, t. j. żelazne drzewa, były rzadsze. Wówczas to jak bór arkanzaski borem, pierwszy raz rozległy się w nim nawoływania: «Heć, kso, byś!»

Wogóle jednak taki nawal roboty spadał na osadników, że niewiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Zaraz z początku pokazało się, że pełnomocnik kolonistów kupił ziemię od kolei na wiarę i nigdy w niej poprzednio nie był; inaczej bowiem nie byłby nabywał głuchej puszczy, zwłaszcza iż równie łatwo było kupić kawałki stepu, częściowo tylko lasem pokryte. Tak on, jak i pełnomocnik kolei, przybyli wprawdzie na miejsce, by działki rozmierzyć i wskazać każdemu co do niego należy, ale zobaczywszy jak rzeczy stoją, pokręcili się dwa dni, następnie wyklócili się i, wyjechawszy

niby po narzędzia miernicze do Clarksville, nie pokazali się już w osadzie.

Wkrótce wyszło na jaw, że jedni osadnicy zapłacili więcej, inni mniej, a co gorsza: nikt nie wiedział, gdzie jego działka leży, jak odmierzyć to, co na niego wypada. Osadnicy zostali bez żadnego przewodnictwa, bez żadnej władzy, któraby mogła sprawy ich porządkować i spory godzić. Nie wiadano dobrze, jak pracować. Niemcy wzięliby się zapewne całą gromadą do wycięcia lasu, i oczyściwszy całą przestrzeń, postawiwszy wspólnemi siłami domy, dopieroby zaczęli przy każdym domu odmierzać grunta. Ale każdy Mazur chciał odrazu swoim się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przytem chciał brać miejsca przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się jakby z nieba spadły wóz niejakiego pana Grünmańskiego. Ten pan Grünmański, w Cincinatti naprzykład, gdzie mieszkają Niemcy, może nazywał się krócej: Grünman, ale w Borowinie dodał sobie «ski» dlatego, żeby handel lepiej szedł. Wóz jego miał wysoki dach płócienny, na którym z każdego boku czerniał

napis wielkimi literami: «*Saloon*», a pod spodem mniejszemi: «*Brandy, whisky, dżin.*»

Jakim sposobem wóz ten przejechał w całości niebezpieczną pustynię między Clarksville a Borowiną, jakim sposobem nie rozbili go stepowi awanturnicy, dlaczego Indyanie, którzy wałęsają się małymi oddziałami, nieraz bardzo blisko od Clarksville, nie zdjęli skalpu z głowy pana Grünmańskiego, to była jego tajemnica, dość, że przybył i tego samego dnia zaraz zaczął robić doskonale interesa. Ale też tego samego dnia osadnicy poczęli się klócić. Do tysiącznych sporów o działki, o narzędzia, o owce, o miejsca przy ogniskach przybyły nader błahе powody. Oto w osadnikach obudził się jakiś zaściankowo-amerykański patryotyzm. Ci, co pochodzili ze stanów północnych, poczęli wychwalać dawne swe siedziby kosztem osad i osadników ze stron południowych i odwrotnie. Wówczas to można było usłyszeć ową północno-amerykańską polszczyznę, cerowaną angielskimi niemi wszędzie, gdzie ją odłączenie od macierzystego kraju i przebywanie wśród obcych przeziurawiło.

— Bo co wy to chwalita swoje południowe kontry? — mówił parobczak z pod Chicago. —

U nas w Illinois, gdzie spojrzysz, to je rajbrod, a co karem milkę ujedziesz, to city. Pójdiesz na fermę, dom chcesz stawiać, to nie potrzebujesz lasu gryźć, kupisz lumber i basta, a u was co?

— U nas jeden kanon więcej wart, niż całe twoje bloki.

— A ty mnie, goddem, czego tykasz? Tam byłem syr, to i tu będę syr, a ty coś za jeden?

«Syr» znaczyło angielskie «*sir*.»

— Cicho, bo złapię *szynge*ls, albo ci leb umoczę w kryku, kiedy się sierdzisz. Co ci za *business* do mnie?

— Czego mnie faliszujesz? Kupię ci za bita!

.
.

W osadzie źle się poprostu działo, bo ta gromada przypominała gromadę owiec bez pastucha. Spory o działki stawały się coraz gwałtowniejsze. Przychodziło do bitew, w których towarzysze z jednych miast lub osad łączyli się przeciwko pochodzącym z innych. Doświadczęsi, starsi i mędrsi zyskiwali wprawdzie zwolna powagę i władzę, ale niezawsze mogli je utrzymać. W chwilach tylko niebezpieczeństw, wspólny instynkt obrony kazał zapominać o kłót-

niach. Raz, gdy wieczorem gromadka włóczęgów indyjskich ukradła kilkanaście owiec, chłopci rzucili się za nimi w pogoń hurmem i bez chwili namysłu. Owce odebrano, jednego czerwono-skórego zbito tak, że wkrótce umarł, i najlepsza zgoda panowała tego dnia, ale drugiego ranka znowu zaczęli się bić z sobą przy karczunku. Zgoda przychodziła także, gdy wieczorami grajek poczynął wygrywać nie do tańca, ale rozmaite pieśni, które każdy słyszał dawno, jeszcze pod słomianemi strzechami. Rozmowy wtedy cichły. Chłopi otaczali grajka wielkiem kołem, szum boru wtórował mu, płomień w ogniskach sykał i strzelał skrami, oni zaś, stojąc, spuszcza li chmurnie głowy, i dusze z nich ulatywały za morze. Nieraz księżyc wytoczył się wysoko nad las, a oni jeszcze słuchali. Ale z wyjątkiem tych krótkich chwil, rozprzegało się wszystko coraz bardziej w osadzie. Bezład powiększał się, nurtowała nienawiść. To małe społeczeństwo, rzucone wśród lasów i prawie oderwane od reszty ludzi i opuszczone przez przewodników, nie mogło i nie umiało sobie dać rady.

Między osadnikami odnajdujemy dwie znane nam postacie: starego chłopa nazwiskiem Wawrzon Toporek i jego córkę Marysię. Dosta-

wszy się do Arkansas, mieli w Borowinie dzielić losy innych. Jakoż z początku lepiej się im działo. Co bór, to nie bruk nowo-jorski, a przysięga: tam nie mieli nic, tu posiadali wóz, inwentarza trochę, nabytego tanio w Clarksville, i trochę porządków do roli. Tam gryzła ich straszna tęsknota, tu praca ciężka nie pozwala myśli od dnia dzisiejszego oderwać. Chłop od rana do wieczora bór ciął, wióry łupał i belki na chałupę obrabiał; dziewczyna musiała chusty w strumieniu prać, ogień rozniecać, jeść gotować; ale mimo znoju, ruch i powietrze leśne zacierały stopniami na jej twarzy ślady choroby, jakiej nabyła przez nędzę w Nowym-Jorku. Gorący powiew z Texasu opalił i pokrył złotawym odblaskiem bladą jej twarzyczkę. Młodzi chłopcy z Sant-Antonio i z nad wielkich-jezior, którzy o ladaco przyskakiwali do siebie z pięściami, w tem tylko byli zgodni, że Marysi oczy tak patrzą z pod jasnych włosów, jak chaber z żyta, i że to najładniejsza dziewczyna, jaką oko ludzkie oglądało. Uroda Marysina wyszła na dobre i Wawrzonowi. Sam sobie szmat najrzadszego lasu wybrał, i nikt mu się nie sprzeciwił, bo wszyscy parobcy byli po jego stronie. Niejeden też mu w ścinaniu drzewa i obrabianiu belek,

albo w zakładaniu na zręby pomagał, a stary, że chytry był, poznał co się święci i od czasu do czasu odzywał się:

— Moja córuchna chodzi po łące, kiejby lelija, kiejby pani, kiejby królewna. Komu zechcę, to ją dam, ale byle komu nie dam, bo ona je gospodarska córka. Kto mi się niżej pokłoni i lepiej wygodzi, temu dam, nie żadnemu powsinodze.

Kto więc jemu pomagał, myślał, że sobie pomaga.

Wawrzonowi więc było lepiej nawet niż innym, a wogóle byłoby wcale dobrze, gdyby osada miała jaką przyszłość przed sobą. Ale tam rzeczy psowały się z dnia na dzień. Ubiegł tydzień i drugi. Naokoło polanki zrabano drzewo, ziemia pokryła się wiórami, tu i owdzie wzniosła się żółta ściana domostwa; to jednak, co zrobiono, było fraszką w porównaniu z tem, co należało zrobić. Zielona ściana boru zwolna tylko ustępowała przed siekierami. Ci, którzy się zagłębiali w haszcze, przynosili dziwaczne wieści, że ten bór wcale końca niema, że dalej straszne w nim bagna, bajory i jakaś śpiąca woda pod drzewami, że jakieś dziwotwory tam mieszkają, jakieś opary naksztalt duchów prze-

suwają się między gąszczami, jakieś węże syczą, jakieś głosy wołają: «Nie chodź!» jakieś krzaki niesamowite za ubranie łapią i nie puszczają. Pewien chłopak z Chicago dowodził, że widział diabła we własnej osobie, jak straszny, kudłaty łeb z błota podniósł i tak na niego chrapnął, iż ledwo do taboru uciekł. Osadnicy w Texas tłumaczyli mu, iż to musiał być bawół, ale on nie chciał wierzyć. Tak groźnemu położeniu grozy przesąd dodawał. W kilka dni po widzeniu diabła zdarzyło się, że dwóch zuchów w las poszło, i więcej ich nie ujrzano. Kilku ludzi zachorowało na krzyże z wysilenia, a potem rzuciła się na nich febra. Klótnie o działki wzrastały do tego stopnia, że do ran i krwi w bitwach przychodziło. Kto nie pocechował bydła, temu inni własności zaprzeczali. Tabór rozprzął się, rozstawiono wozy po wszystkich kątach polanki, by być od siebie jak najdalej. Niewiadomo było, kto ma wychodzić na stróżę do bydła; owce poczęły ginąć. Tymczasem jedna rzecz stawała się coraz widoczniejszą, to, że nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje; nim zasiewy na rubieżach leśnych się zazielenią i dochówek jaki będzie, zapasów żywności zabraknie i przyjąć może głód. Rozpacz ogarniała ludzi.

Huk siekier w lesie się zmniejszał, bo cierpliwości i odwagi poczynano brakować. Każdyćby jeszcze pracował, gdyby mu kto powiedział: «Masz, dotąd twoje!» Ale nikt nie wiedział, co jego, co nie jego. Sluszne narzekania przewodników wzrastały. Ludzie mówili, że na puszcze zostali wywiedzeni, by wyginęli marnie. Powoli, kto miał coś jeszcze grosza przy duszy, na wóz siadał i do Clarksville odjeżdżał. Ale więcej było takich, którzy, włożywszy ostatni grosz w sprawę, nie mieli o czem wracać do dawnych siedzib. Ci załamywali ręce, widząc zgubę pewną.

Siekierzy przestały wreszcie rąbać, a bór szumiał, jakby się natrzęsał z ludzkiej niemocy. «Rąb dwa lata, a potem z głodu zamrzyj» — mówił chłop do chłopu. A las szumiał, jakby się natrzęsał. Pewnego wieczoru przyszedł Wawrzon do Marysi i rzekł:

— Widzę, że wszyscy tu zmarnieją i my zmarniejemy.

— Wola Boga, — odrzekła dziewczyna — ale był ci On nam miłosierny, to i teraz nas nie opuści.

Tak mówiąc, podnosiła niebieskie jak chaber oczy do góry ku gwiazdom i w blaskach ogni-

ska wyglądała jak jaki obrazek kościelny. A chłopaki z Chicago i strzelcy z Texasu, patrząc na nią, mówili:

— I my nie opuściwa cię, Marysiu, zorzo rumiana.

Ona pomyślała sobie, że jeden jest tylko taki, z którymby poszła na kraj świata, jeden Jaśko w Lipińcach. Ale ten, choć przyrzekł kaczorem morze za nią przepłynąć, ptakiem powietrze przelecieć, złotym pierścieniem po gościńcu się potoczyć, nie przypływał, nie przylatywał, i ten jeden opuścił ją niebogę.

Marysia nie mogła nie wiedzieć, że w osadzie źle się dzieje, ale w takiej już była toni, z takich przepaści Bóg ją wydobył, taka jej dusza stała się jasna w niedoli, że ufności w pomoc niebieską nic jej nie mogło odebrać.

Zresztą wspomniała, że stary pan w Nowym-Jorku, który im pomógł z nędzy wstać i tu się przedostać, dał jej swoją kartkę, rzekłszy, że gdy ją niedola przycisnie, niech się do niego zgłosi, a on ją poratuje zawsze.

Tymczasem dla osady każdy dzień większą groźbę przynosił. Ludzie uciekali z niej nocami, i co się tam z nimi działo, to już trudno powiedzieć. Wokoło las szumiał i natrzasał się.

Stary Wawrzon zachorował wreszcie z wysilenia. Ból jął mu po pacierzach chodzić. Dwa dni nie zważał na to, trzeciego nie mógł wstać. Dziewczyna poszła do lasu, nazbierała mchu, wysłała nim gotową ścianę domu, leżącą na murawie, położyła ojca na mchach i gotowała mu leki z wódką.

— Maryś, — mruczał chłop — już śmierć idzie do mnie przez bory; zostaniesz ty sama na świecie, sieroto, Bóg mnie karze za ciężkie grzechy moje, bom cię wyprowadził za morze i zgubił. Ciężkie będzie moje konanie...

— Tatulę, — odpowiadała dziewczyna — mnieby Bóg skarał, gdybym za wami nie była poszła.

— Bym cię jeno samej nie zostawił: gdybym cię do ślubu błogosławił, lepiejby było umierać. Maryś, weź ty Czarnego Orlika za męża, on jest chłop dobry, on cię nie opuści.

Czarny Orlik, niechybny myśliwiec z Texasu, który to słyszał, zaraz rzucił się na kolana.

— Ojcze! pobłogosławta — rzekł: — miłuję ją tę dziewczynę, jako dolę własną. Jać się z bo-rem znam i zginąć jej nie dam.

Tak mówiąc, patrzył sokołemi oczyma na

Marysię, jako na tęczę, ale ona, pochyliwszy się ku nogom starego, rzekła:

— Nie niewólcie mnie, tatulu; komu ślubowałam, tego będę, albo niczyja.

— Komuś ślubowała, tego nie będziesz, bo ja go zabiję. Moją musisz być, albo niczyją — odpowiadał Orlik. — Zmarnieją tu wszyscy, zmarniejesz i ty, jeśli cię nie poratuję.

Czarny Orlik nie mylił się. Osada marniała; upłynął znowu tydzień i drugi. Zapasy dobiegały końca. Zaczęto bić bydło, przeznaczone na robotę. Febra rzucała się na coraz nowe ofiary, ludzie na puszczy zaczęli to przeklinać, to wołać wielkimi głosami do nieba o ratunek. Pewnej niedzieli starzy, parobki, kobiety i dzieci, wszyscy klękli na murawie i śpiewali suplikacye. Sto głosów powtarzało: «Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!» Bór przestał kołysać się, przestał szumieć i słuchał. Dopiero gdy pieśń ucichła, zaszumiał znowu, jakby mówił groźnie: «Jam tu król, jam tu pan, jam tu najmocniejszy!»

Ale Czarny Orlik, który z borem się znał, utkwil weń swoje czarne oczy, popatrzał nań dziwnie jakoś, potem rzekł głośno:

— A no! to weźmiewa się za bary.

Ludzie popatrzyli z kolei na Orlika, i otucha jakaś wstąpiła im w serce. Ci, co go znali jeszcze z Texasu, mieli do niego ufność wielką, bo to był myśliwiec nawet w Texasie sławny. Chłop to był istotnie w stepach zdziczały i silny jak dąb. Na niedźwiedzia w pojedynkę chodził. W San-Antonio, gdzie przedtem mieszkał, wiedziano dobrze, że czasem, gdy wzięwszy karabin, wyszedł na pustynię, to po parę miesięcy w domu go nie bywało, a zawsze wracał zdrów, cały. Przezywano go Czarnym, bo tak był opalony od słońca. Mówiono nawet o nim, że na granicy Meksyku rozbijał, ale to nie było prawdą. Przynosił tylko skóry, a czasem i skalpy indyjskie, dopóki mu za nie proboszcz miejscowy klątwą nie zagroził. Teraz w Borowinie on tylko o nic nie dbał i o nic się nie troszczył. Bór mu dawał jeść i pić, bór go odziewał. Gdy więc zaczęli ludzie uciekać i tracić głowy, on zaczął wszystko w ręce brać i rządzić się jak szara gęś po niebie, mając za sobą wszystkich z Texasu. Gdy się po suplikacyach na bór zawział, ludzie pomyśleli sobie: przecie on coś wymyśli.

Tymczasem zachodziło słońce. Wysoko, między czarnymi gałęziami «hickor» świeciła jeszcze czas jakiś jasność złota, potem zczerniała i gasła.

Wiatr pociągał ku południowi, gdy się zmroczyło: Orlik wziął karabin i poszedł do lasu.

Noc już zapadła, gdy w czarnej dali leśnej ludzie ujrzeni niby wielką gwiazdę złotą, jakoby wschodzącą zorzę lub słońce, które rosło ze straszną szybkością, rozlewając krwawą i czerwoną jasność.

— Bór się pali! bór się pali! — zaczęto wołać w taborze.

Chmury ptactwa podniosły się z loskotem ze wszystkich stron lasu, krzycząc, kracząc, świergocąc. Bydło w obozie zaczęło ryczeć żałośnie, psy wyły, ludzie biegali przerażeni, nie wiedząc, czy nie na nich idzie pożoga; ale silny wiatr południowy mógł gnać płomienie tylko od polanki. Tymczasem w dali zabłysła druga czerwona gwiazda, potem trzecia. Obie wkrótce zlały się z pierwszą, i pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomienie rozlewały się jak woda, biegły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wina, trzęsły liśćmi. Wicher wyrwał te płonące liście, niósł je, jakby ptaki ogniste, dalej i dalej.

Hickory pękały z hukiem armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wiły się po smolnem podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask

gałęzi, głucho huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt, napelniały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się, niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i, kołysząc się strasznie, niby jakieś szatańskie ramiona, podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zaczerwieniło się, jakby w niem drugi był pożar. Zrobiło się widno, jak w dzień. Potem wszystkie płomienie zlały się w jedno morze ognia i szły przez las, jakby tchnienie śmierci lub gniew Boży.

Dym, upał i woń spalenizny napelniły powietrze. Ludzie w taborze, choć im nie groziło niebezpieczeństwo, zaczęli krzyczeć i nawoływać się wzajemnie, gdy nagle od strony pożaru pokazał się w skrach i blasku Czarny Orlik. Twarz miał okopconą dymem i groźną. Gdy go otoczono kołem, oparł się o karabin i rzekł:

— Nie będziecie karczowali. Spaliłem bór. Jutro będziecie mieli z tej strony pola, ile kto wstrzyma.

Potem zbliżywszy się do Marysi, rzekł:

— Musisz być moją, jakom jest ten, który spalił bór. Kto tu ode mnie mocniejszy?

Dziewczyzna zaczęła drżeć na całym ciele,

bo luna świeciła w oczach Orlika, i cały wydawał jej się strasznym...

Pierwszy raz od chwili przyjazdu dziękowała Bogu, że Jaśko był daleko w Lipińcach.

Pożoga tymczasem, hucząc, odchodziła dalej a dalej; dzień zrobił się chmurny i groził deszczem. Świtaniem niektórzy ludzie poszli obejrzeć zgliszcza, ale niepodobna było zbliżyć się od gorąca. Drugiego dnia sześcioro naksztalt mgły zawisła w powietrzu, tak, że człowiek człowieka o kilkanaście kroków nie mógł odróżnić. W nocy zaczął padać deszcz, który wkrótce przeszedł w straszną ulewę. Być może, że pożar, wstrząsnąwszy atmosferą, przyczynił się do spędzenia chmur, ale prócz tego była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Mississippiego, tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej, padają zwykle ogromne deszcze. Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas pokrywając w kształcie błot, małych jezior i strumieni kraj cały, zwiększają się na wiosnę z powodu topnienia śniegów w dalekich górach. Cała połanka rozmiękla i zmieniła się stopniowo w wielką sadzawkę. Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę, pragnąc

się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść, że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem. Wawrzonowi tylko i Marysi mniej groził głód niż innym, czuwała bowiem nad nimi potężna ręka Czarnego Orlika. Codziennie rano przynosił im zwierzynę, którą albo strzelał, albo łapał we wnyki; na ścianie domu, na której leżał Wawrzon, Orlik ustawił swój namiot, by starego i Marysię od deszczu zabezpieczyć. Trzeba było przyjąć tę jego pomoc, którą prawie narzucał, i zobowiązać się do wdzięczności, bo zapłaty wziąć nie chciał, jeno ręki Marysinej żądał.

— Czy to ja jedna w świecie? — wypraszała się dziewczyna: — idź, inszej sobie poszukaj, jako i ja miłuję innego.

Ale Orlik odpowiadał:

— Choćbym kraj świata schodził, drugiej takiej nie znajdę. Tyś mi jedna na świecie i musisz być moją. Co zrobisz, jak ci stary zamrze? Przyjdiesz do mnie, przyjdiesz sama, a ja cię wezmę jak wilk jagnię, w lasy zaniosę, aleć

nie pożrę. Tyś moja! tyś jedyna! Kto mi cię zaprzeczy? Kogo ja się tu boję? Niech przyjeżdża twój Jaśko: chcę tego!

Co do Wawrzona, Orlik zdawał się mieć słuszość. Stary chorzał coraz bardziej, chwilami dostawał gorączki, mówił o grzechach swoich, o Lipińcach i o tem, że mu Bóg nie pozwoli ich zobaczyć. Marysia lzy lała i nad nim i nad sobą. To, że jej Orlik obiecywał, iż byle mu ślubowała, to wróci z nią choćby do Lipiniec, było dla niej goryczą, nie pociechą. Wrócić do Lipiniec, gdzie był Jaśko, i wrócić cudzą, za nic! lepiej tu umrzeć pod pierwszym lepszym drzewem. Myślała, że tak skończy.

Tymczasem nowy dopust miał spaść na osadę.

Deszcz lał coraz większy. Pewnej głuchej nocy, gdy Orlik poszedł jak zwykle do boru, w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy: «Woda! woda!» Gdy ludzie przetarli ze snu oczy, ujrzeli w ciemności, jak okiem sięgnąć, jedną białą płaszczyznę, pluskającą pod deszczem i kołysaną wiatrem. Rozpierzchle i przyémione światło nocy połyskiwało stalowo na załamaniach i zmarszczkach fali. Od strony brzegu, gdzie sterczały pniaki, i od spalonego lasu słychać było szum i chlupotanie nowych fal, płynących

jakoby z pędem wielkim. Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie do kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z nawoływaniem imion i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta zaczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spłynęły i żalosnem beczeniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz lał jak z cebra, i każda minuta stawała się coraz straszliwszą. Daleki szum zmieniał się w ogromny gwar i huk rozwścieczony fal. Wozy zaczęły drzeć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Jeden z wozów, stojący najbliżej spalonego lasu, przewrócił się. Na rozdzierający krzyk: «Ratunku!» zamkniętych w nim kobiet, kilka ciemnych postaci męskich rzuciło się z drzew,

ale fala porwała ratujących, okręciła i poniosła w las na zgubę. Na innych wozach chroniono się na płóciennie dachy. Deszcz szumiał coraz większy, coraz większa ciemność padała na tę mroczną łąkę. Chwilami belka jaka z uczepioną ludzką postacią przemknęła, rzucona w górę i na dół, chwilami ciemny kształt zwierzęcia lub człowieka, czasem ręka wysunęła się z wody i zapadła w nią na zawsze.

Coraz wściekleszy huk wód zgłuszył wszystko, i ryki tonących zwierząt, i wołania: «Jezu! Jezu! Marya!» Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy nikły...

A Wawrzon i Marysia? Ta ściana domu, na której stary chłop leżał pod Orlikowym namiotem, uratowała ich na razie, bo spłynęła jak tratwa. Fala okręciła ją wokół całej polanki i poniosła w stronę lasu, tam uderzyła nią o jedno drzewo, o drugie i, wepchnąwszy wreszcie w łózysko strumienia, poniosła w dal i ciemność. Dziewczyna, klęcząca przy starym ojcu, podnosiła ręce do nieba, wzywając je na ratunek; ale odpowiadały jej tylko uderzenia fali dżdżystej, gnanej wiatrem... Namiot zerwało... a i sama tratwa mogła rozbić się co chwila, bo i przed

nią i za nią płynęły pnie powyrywanych drzew, które mogły ją zgnieść lub podważyć...

Nakoniec wpadła między gałęzie jakiegoś drzewa, którego czub było tylko widać z wody, ale w tej samej chwili z owego czuba doszedł głos ludzki:

— Weź karabin, i przejdźcie na drugą stronę, by się tratwa nie przechyliła, jak zeskoczę...

Zaledwie oboje z Wawrzonem uczynili to, co im kazano, jakaś postać skoczyła z gałęzi na tratwę.

Był to Orlik.

— Maryś, — rzekł — jakom ci powiedział, tak cię nie opuszczę. Boga mi! Ja was i z tej toni wyprowadzę.

Toporkiem, który miał przy sobie, uciął prosta gałąź z drzewa, obrobił ją w mgnieniu oka, potem wypchnął tratwę z gałęzi i począł wiosłować.

Wydostawszy się na właściwe łóżyisko strumienia, płynęli z szybkością błyskawicy; dokąd? nie wiedzieli, ale płynęli. Orlik od czasu do czasu odpychał pnie, gałęzie, lub wykręcał tratwę, by omijać drzewo stojące. Olbrzymie siły jego zdawały się podwajać. Oko, pomimo ciemności, odkrywało każde niebezpieczeństwo. Uply-

wała godzina za godziną. Każdy inny byłby padł ze zmęczenia; po nim nawet znać trudu nie było. Nad samym rankiem wydostali się z lasów, bo żadnego wierzchołka drzewa nie było widać na widnokręgu. Za to cała okolica wyglądała jak jedno morze. Potworne skrety żółtej i spienionej wody zataczały się z rykiem po pustej płaszczyźnie. Tymczasem dniało coraz więcej. Orlik, widząc, że żadnego pnia w pobliżu niema, przestał na chwilę wiosłować i odwrócił się do Marysi:

— Mojaś ty teraz, bom cię śmierci wydał.

Głowa jego była odkryta, a twarz mokra i zarumieniona znojem, zagrzana walką z powodzią, miała taki wyraz siły, że Marysia po raz pierwszy nie śmiała mu odpowiedzieć, że innemu ślubowała.

— Maryś! — rzekł chłopak miękko. — Maryś serdeczna!

— Dokąd płyniemy? — spytała, chcąc zmienić rozmowę.

— Co mi tam! Byle z tobą... umiłowana...

— Wiosłuj, dopóki śmierć przed nami.

Orlik począł znowu wiosłować. Tymczasem Wawrzon czuł się gorzej i gorzej. Chwilami miał gorączkę, chwilami opuszczała go, ale słab-

nał. Za dużo już było cierpień na jego stare, sterane ciało. Zbliżał się kres i uspokojenie wielkie, ulga wieczysta. W samo południe obudził się i rzekł:

— Maryś! już ja jutra nie doczekam. Oj! dziewczyno, dziewczyno! bogdajbym nie był z Lipiniec wyjeżdżał i ciebie nie wywoził. Ale Bóg miłosierny! Nacierpiałem się niemało, to mi odpuści grzechy moje. Mnie pochowajta, jeśli będziała mogli, a ciebie niech Orlik do starego pana do Nowego-Jorku odprowadzi. To dobry pan, on zlituje się nad tobą, i na drogę ci da, i wrócisz do Lipiniec. Ja już nie wrócę. O Boże, Boże miłosierny, pozwólże duszy mojej jakby ptakowi tam polecieć i choćby zobaczyć!

Tu gorączka go ogarnęła i począł mówić: «Pod Twoją obronę uciekam się, Święta Boża Rodzicielko!» — nagle krzyknął: — «Nie wrzucajta mnie w wodę, bom nie pies!» — a potem widocznie przypomniało mu się, jak chciał Marysię z nędzy topić, bo znowu wołał: «Dziecko, odpuść!...»

Ona biedaczka leżała u wezglowia ze łkaniem... Orlik wiosłował, i lży dusiły go za gardło.

Wieczorem wypogodziło się. Słońce w chwili zachodu pokazało się nad zalaną okolicą i od-

biło się w wodzie długą, złocistą taśmą. Stary zaczął konać. Bóg jednak zmiłował się nad nim i dał mu śmierć pogodną. Z początku powtarzał żalosnym głosem: «Odjechałem od Polski, od tamtej ziemi» — ale potem w obłędzie gorączki zdało mu się, że do niej wraca. O! widzi mu się, że stary pan z Nowego-Jorku dał na drogę i na odkupno kolonii, więc oboje z Marysią jadą z powrotem. Są na oceanie, okręt płynie dzień i noc, majtkowie śpiewają. Potem widzi ten port w Hamburgu, z którego wyjechał, miasta różne migają mu w oczach, mowa niemiecka brzmi naokoło, ale pociąg leci naprzód, więc Wawrzon czuje, że coraz bliżej jest domu, jakaś radość rozdyma mu piersi, jakieś powietrze inne, ko-chane, zalatuje go od stron rodzinnych. Co to? granica. Biedne chłopskie serce bije jak młotem... Jedźcie dalej! Boże, Boże! a to już i pola i grusze Maćkowe... ich chałupy szare i kościoły. Tam chłop w baraniej czapce chodzi za plugiem. On ręce do niego z wagonu wyciąga. Gospodarzu, gospodarzu!... mówić nie może. Jadą dalej. A tam co? Miasto Przyrębłe, a za Przyręblami Lipińce. Idą oboje z Marysią drogą i płaczą. Jest wiosna. Zboże kwitnie... chrabą-szcze brzęczą w powietrzu... w Przyręblach

dzwonią na Anioł Pański... Jezu! Jezu! za co tyle szczęścia jemu grzesznemu? Jeszcze przez tę górkę, a tam już krzyż, i drogowskaz, i lipieniecka granica. Już nie idą, ale... lecą jakby na skrzydłach, już są na górcie, przy krzyżu, przy drogowskazu. Chłop rzuca się na ziemię, i ryczy ze szczęścia, i ziemię całuje, i czolgając się do krzyża, obejmuje go rękoma: już jest w Lipińcach. Tak jest. On już w Lipińcach, bo tylko martwe jego ciało spoczywa na zablakanej wśród powodzi trawie, a dusza poleciała tam, gdzie jej szczęście i spokój...

Próżno dziewczyna zawodzi nad nim: Tatulu, tatulu!... Biedna Marysiu, nie wróci on do ciebie! Jemu za dobrze w Lipińcach.

Nadeszła noc. Orlikowi wypadła już tyczka z ręki od wiosłowania, i głód dokuczał. Marysia, klęcząc nad ciałem ojca, odmawiała przerywanym głosem pacierze, naokół aż do ostatnich krańców horyzontu widać tylko było topiel wodną.

Wpłynęli w łóżyisko jakiejś większej rzeki, bo prąd znowu szybko unosił tratwę. Niepodobna było nią kierować. Może to jednak były i wiry kręcące się nad wklęsnięciami stepu, bo często niosło ich kołem. Orlik czuł, że go siły

opuszczają, gdy nagle zerwał się na równe nogi i krzyknął:

— Na rany Chrystusa! tam światło!

Marysia spojrzała w kierunku, w którym wyciągał rękę. Istotnie na dalekości błyskał jakoby ogieniek, z którego smuga odbijała się w wodzie.

— To łódź z Clarcsville! — mówił szybko Orlik — Yankesy wysłali ją na ratunek. Byle nas nie minęli... Maryś, uratuję cię. Hoop! hoop!

Jednocześnie wiosłował z największem wysiłeniem. Jakoż ogień rósł im w oczach, a w czerwonym jego świetle zarysowało się coś jakby wielka łódź. Była jeszcze bardzo daleko, ale zbliżali się. Po niejakiem jednak czasie Orlik ujrzał, że łódź nie posuwa się naprzód.

Wpłynęli na wielki i szeroki prąd, idący w stronę przeciwną statku.

Nagle tyczka pękła z natężenia w Orlikowych rękach.

Byli bez wiosła. Prąd odnosił ich coraz dalej, światło zmniejszało się. Na szczęście, tratwa po kwadransie trafiła na drzewo, stojące samotnie na stepie, i uwięzła w jego gałęziach.

Zaczęli oboje wzywać krzykami pomocy, ale szum prądu głużył ich głosy.

— Strzelę — rzekł Orlik: — światło zobaczą, huk usłyszą.

Ledwie pomyślał, już podniósł w górę lufę karabinu, ale zamiast strzału, dało się słyszeć głuche kłapięcie kurka o panewkę. Proch zamokł.

Orlik rzucił się na tratwę jak długi. Nie było rady. Przez chwilę leżał martwy; nakoniec podniósł się i mówił:

— Maryś... Inną dziewczkę dawnobym ja wołał niewolą wziął i w lasy poniósł. Myślałem i z tobą tak zrobić, alem nie śmiał, bom cię umiłował. Chodziłem jak wilk sam po świecie, i ludziska się mnie bali, a ja się ciebie zląkłem, i ot! Maryś, tyś mi chyba zadała co... Ale nie masz-że ty mnie poślubić: lepsza śmierć! Wyratuję cię, albo zginę, ale jeśli zginę, ty mnie, serdeczna, pożałuj i pacierz za mnie zmów. Com ci przewinił?... Krzywdym ci nie zrobił. Ej! Maryś, Maryś! bądź zdrowa, kochanie moje, słońce moje...

I nim się zmiarkowała, co chce czynić, rzucił się na wodę i począł płynąć. Przez chwilę widziała w ciemności jego głowę i ramiona, prującą wodę mimo prądu, bo pływak był dzielny. Ale wkrótce zniknął jej z oczu. Płynął do łodzi po ratunek dla niej. Wartki pęd wody ha-

mował jego ruchy, jakby go coś w tył ciągnęło, wydzierał się i zdązał naprzód. Gdyby mógł wyminąć ten prąd, gdyby trafił na jaki inny, dopłynąłby z pewnością. Tymczasem mimo nadludzkich usiłowań, zwolna tylko mógł się posuwać. Gęste żółtawe wody rzucały mu częstokroć pianę w oczy, więc wznosił głowę, nabierał oddechu i wzrok wyteżał w ciemność, by dojrzeć, gdzie łódź ze światłem. Czasem gwałtowniejsza fala cofnęła go, czasem uniosła w górę; oddychał coraz trudniej: czuł, że kolana mu tężeją. Pomyślał: nie dopłynę; ale wtem szepnęło mu coś w ucho, jakby kochany głos Marysi: «Ratuj mnie!» i znowu jął rozpaczliwie rozcinać wodę rękoma. Policzki jego wydymały się, usta wyrzucały wodę, oczy wychodziły na wierzch... Gdyby wrócił, jeszczeby z prądem dopłynął do tratwy, ale on nawet o tem nie myślał, bo światło łodzi było bliżej i bliżej. Istotnie i łódź popłynęła ku niemu, niesiona tym samym prądem, z którym on walczył. Nagle uczuł, że kolana i nogi zeszytywniały mu zupełnie. Jeszcze kilka rozpaczliwych wysileń... Łódź coraz bliżej... «Pomocy! ratunku!...» Ostatni wyraz stłumiła woda, która zalała mu gardło. Zanurzył się. Fala przeszła nad jego głową, ale wypłynął znowu. Łódź

tuż, tuż. Słyszy już plusk i chrobotanie wiosel o boki statku: ostatni raz natęża głos i wzywa pomocy. Dosłyszano go, bo plusk stał się szybszy. Ale Orlik zanurzył się znowu. Porwał go potworny wir... Przez chwilę jeszcze zaczerniał na fali, potem jedna tylko jego ręka wzniosła się nad wodę, potem druga, a potem zniknął w topieli...

Tymczasem Marysia sama na tratwie, tylko z trupem ojca, patrzyła jak błędna w dalekie światło.

Ale prąd niósł je ku niej. Zarysowała się łódź o kilkunastu wiosłach, które przy blasku ognia poruszały się, jak czerwone nogi jakiegoś wielkiego robaka. Marysia poczęła krzyczeć rozpaczliwie.

— Hej, Smith! — ozwał się po angielsku jakiś głos. — Niech mnie powieszą, jeśli nie słyszałem wołania o pomoc, i jeśli nie słyszę znowu.

Za chwilę silne ręce przeniosły Marysię do czółna, ale Orlika w tem czółnie nie było.

We dwa miesiące potem Marysia wyszła ze szpitala w Little-Rock i za pieniądze zebrane przez dobrych ludzi pojechała do Nowego-Jorku.

A pieniędzy tych nie było dość. Część drogi musiałyby robić piechotą, jednakże mówiąc już

trochę po angielsku, umiała wyprosić sobie u konduktorów, że ją zabierali darmo. Wielu ludzi miało litość nad tą biedną, schorowaną, zczerniałą dziewczyną, o wielkich niebieskich oczach, podobniejszą do cienia, niż do człowieka, i żebrzącą łzami o miłosierdzie. Nie ludzie też znęcali się nad nią, ale życie i jego warunki. Co w tym amerykańskim wirze i w tym olbrzymim «businessie» miał robić ten polny kwiatek lipiniecki? jak sobie radzić? Wóz też tamtejszy musiał przejechać przez nią i zgnieść jej wątłe ciało, jak każdy wóz przejeżdża po kwiatach, co na jego drogę padły...

Wychudła, drżąca z osłabienia ręka targnęła za dzwonek przy Water-Street w Nowym-Jorku: to Marysia szła szukać pomocy u starego pana, rodem z pod Poznania.

Otworzył jej obcy jakiś, nieznany człowiek.

— Mister Złotopolski w domu?

— Kto to jest?

— Wiekowy pan. — Tu pokazała kartę.

— Umarł.

— Umarł? A syn?... pan Wiliam?

— Wyjechał.

— A panna Joanna?

— Wyjechała.

Drzwi zamknęły się przed nią. Siadła na progu i zaczęła sobie twarz ocierać. Była znowu w Nowym-Jorku, sama, bez pomocy, bez opieki, bez pieniędzy, na woli Bożej.

Czy tam zostanie? Nigdy! Pójdzie oto do portu, do niemieckich doków podejmować pod nogi kapitanów i prosić, by ją zabrali, a jeśli się zmiłują, to o żebranym chlebie przejdzie Niemcy i wróci do Lipiniec. Tam jej Jaśko. Ona prócz niego nie ma już nikogo na szerokim świecie. Jeśli on jej nie przygarnie, jeśli zapomniał, jeśli odepchnie, to chociaż umrze blisko niego...

Poszła do portu i czołgała się u nóg niemieckich kapitanów... Oniby ją zabrali, bo gdyby się tylko trochę odżywiła, byłaby z niej ładna dziewczyna. Oniby radzi, ale cóż? prawa nie pozwalają... zresztą, zgorszenie... Niech więc im da pokój...

Dziewczyna chodziła sypiać na ten sam pomost, na którym raz już spali z ojcem, owej pamiętnej nocy, gdy ją chciał topić. Żywiła się tem, co wyrzucała woda, jako się w Nowym-Jorku z ojcem żywili. Szczęściem lato było... ciepło...

Codzień, ledwie rozedniało, już była przy niemieckich dokach żebrać łaski, i codzień na-

próżno. Ale miała wytrwałość chłopską. Tymczasem siły ją opuszczały. Czuła, że jeśli zaraz nie pojedzie, to niezadługo umrze, jak pomarli wszyscy, z którymi ją dola wiązała.

Pewnego poranka przywlokła się z wysileniem i z tą myślą, że to chyba już ostatni raz, bo jutro sił nie starczy. Postanowiła nie prosić, jeno dostać się na pierwszy lepszy statek, odchodzący do Europy, i schować się gdzieś na dnie cichutko. Gdy już wypłyną i znajdą ją, przecież ją w wodę nie wrzucają, a wrzucają, to i cóż? Jedno jej, jak umierać, jeśli umierać trzeba. Ale przy mostku, prowadzącym na okręt, pilnowano dobrze wchodzących, i strażnik odepchnął ją przy pierwszej próbie. Siadła tedy na palu przy wodzie i pomyślała sobie, że ją chyba gorączka chwyta. Jakoż zaczęła się uśmiechać i mrużyć...

— Jać dziedziczka, Jaśku, alem ci wiary dochowała. Cóż, ty mnie nie znasz?

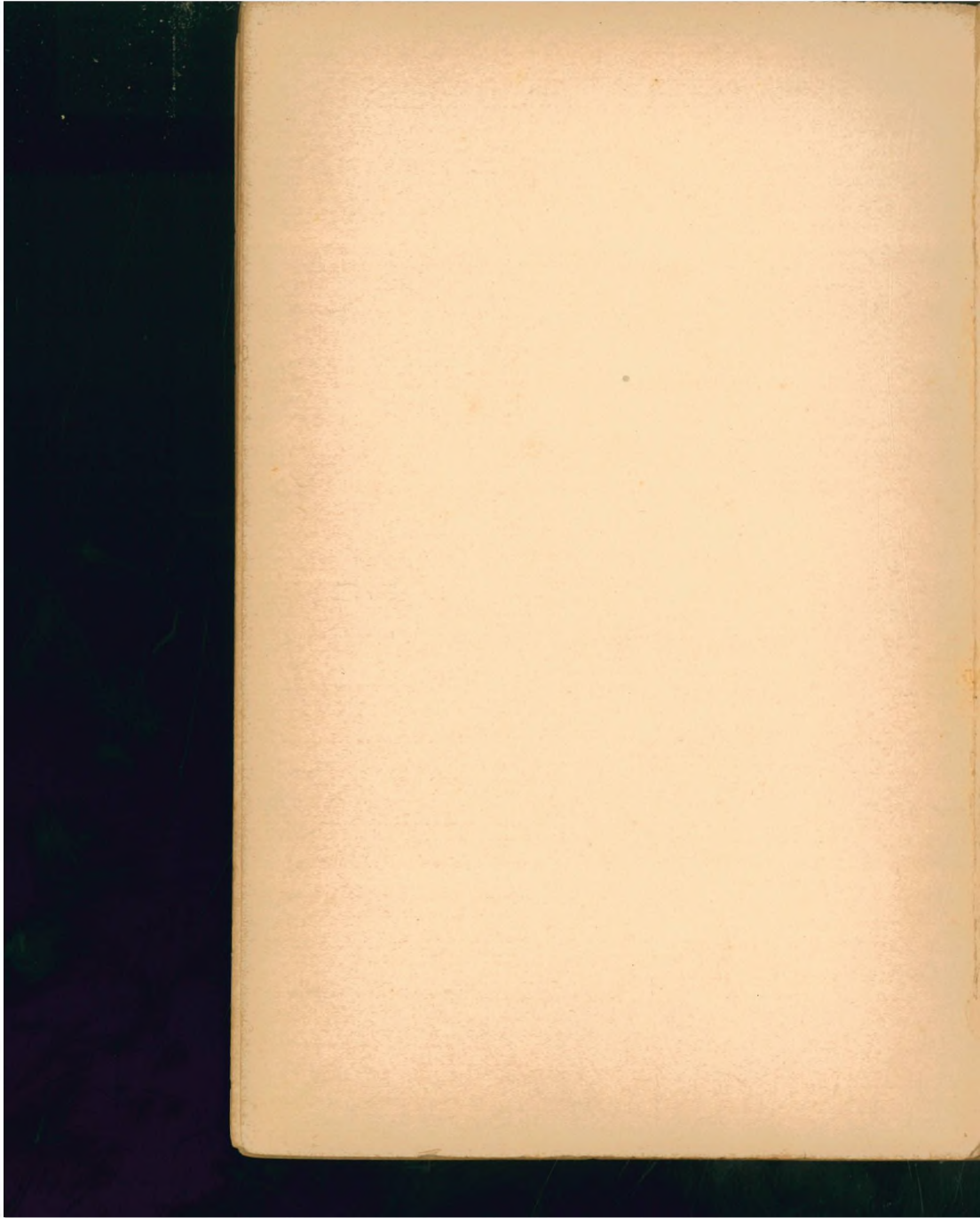
Biedaczka dostała nie gorączki, ale obłąkania. Odtąd przychodziła codziennie do portu wyglądać Jaśka. Ludzie przyzwyczaili się do niej i obdarzali czasem jałmużną. Ona dziękowała pokornie, uśmiechając się, jak dziecko. Trwało tak ze dwa miesiące. Pewnego jednak

razu nie przysłała do portu, i odtąd nie widziano jej więcej. Gazeta tylko policyjna doniosła dnia następnego, że na samym krańcu portu znaleziono ciało zmarłej dziewczyny, niewiadomego nazwiska i pochodzenia.

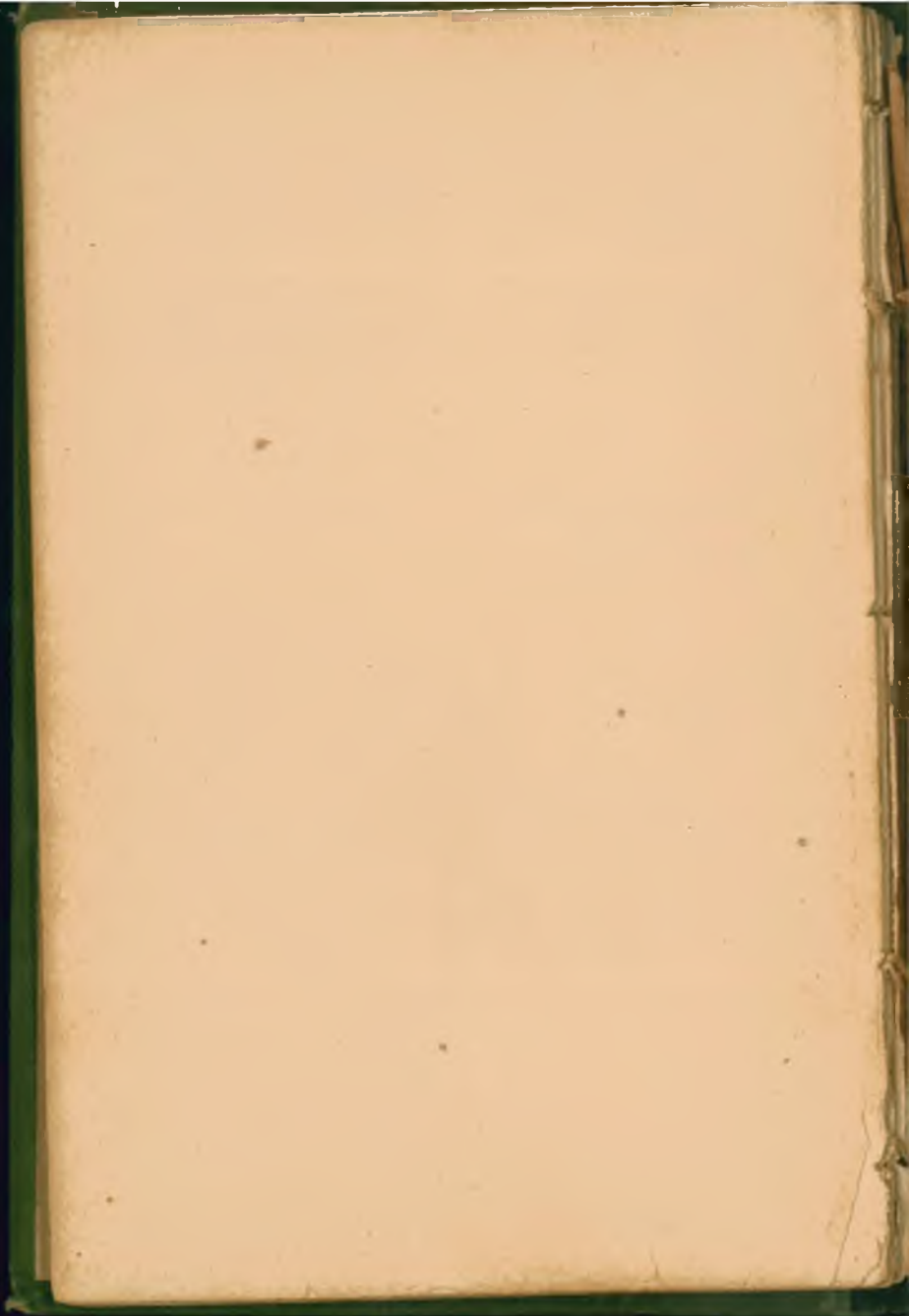


SPIS RZECZY.

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela	5
Za chlebem.	39









Biblioteka WSP Kielce



0181544

